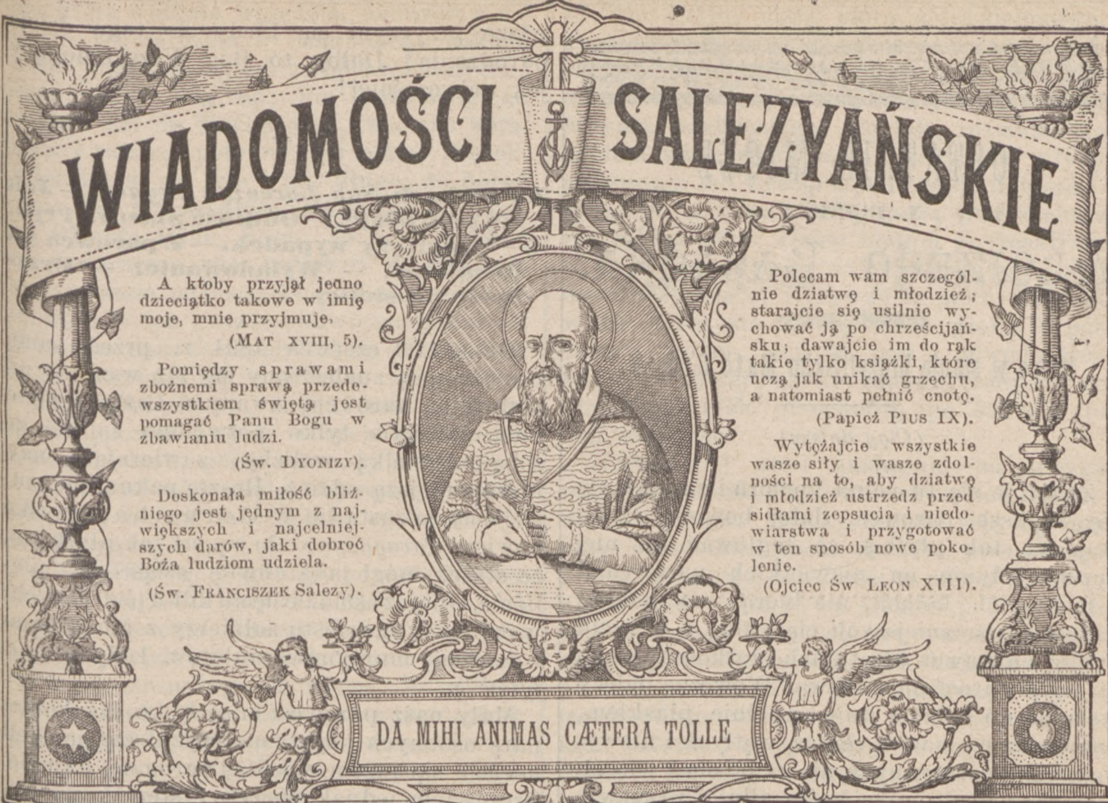
NUMER 6. ROCZNIK I. CZERWIEC 1897.



Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

OD WYDAWNICTWA.

W bieżącym miesiącu rozpoczynamy już wysyłać część odbitek **„Wiadomości salezyańskich"** na ręce tych z grona naszych **Pomocników,** którzy dobrowolnie podjęli się być w swojej wsi lub mieście **agentami** dla naszego pisma. Każdy **agent** otrzymał już spis Pomocników, którym ma co miesiąc pismo regularnie doręczać.

Ktoby sobie jednakże z różnych powodów życzył pobierać **„Wiadomości" nie** przez **agenturę,** lecz pod własnym adresem **pocztą,** niech nas o tem uwiadomi, a uczynimy jego życzeniu zadosyć.

Prosimy dalej **Pomocników** naszych o uwzględnienie dwóch następujących uwag:

1) kto z nich otrzymuje **„Wiadomości"** podwójnie, lub kto prócz **„Wiadomości"** otrzymuje nadto buletyn w innym, niż polski, języku, wyświadczy nam wielką przysługę, jeżeli nas zawiadomi,

a) czy życzy sobie pobierać obadwa buletyny także nadal, lub czy **jeden** tylko;
b) w jakim języku?

2) kto z **Pomocników** ma do wysłania spisy, ofiary i t. p. rzeczy, tyczące się **Związku mszalnego,** niech ich nie posyła ani do **Lombriasco,** ani gdzieindziej, tylko **albo** do T u r y n u, **albo** do R z y m u.

OSTATNIE MISYE
X. BISKUPA
ALOJZEGO LASAGNA.

Misye w stanie brazylijskim Mato Grosso.

(Ciąg dalszy).

Znajduje się tu celna komora i zatrzymują się większe parowce, dalej bowiem rzeka staje się tak płytką, że żeglować na niej można jedynie na niewielkich parowcach o maleńkich kołach, nie biorąc na pokład żadnych znaczniejszych ciężarów, a w wielu miejscach nawet dla takich statków żegluga staje się wprost niemożliwą. Wówczas należy wsiadać do łodzi o dnie zupełnie płaskiem, znanych pod nazwą *chatas*, wątłych i niewygodnych, poruszanych nie za pomocą wioseł, lecz długich drągów, które silni i przyzwyczajeni do tej pracy ludzie zanurzają miarowo w płytkiej rzece i opierając je na dnie posuwają tak powoli biedną łódź, uderzającą co chwilę niemal o podwodne głazy. W ten oto sposób podróżowaliśmy także i my.

W Corumbà na nasze powitanie pospieszył miejscowy proboszcz, Włoch, Don Konstanty TARZIO i konsul boliwijski. Nazajutrz wylądowałem w celu zwiedzenia kościoła, tudzież złożenia wizyt komendantowi miejscowemu, pułkownikowi HORACIO i konsulowi włoskiemu, CARCANO z Medyolanu, którzy mię następnie odprowadzili na statek przy dźwiękach orkiestry wojskowej.

Stary proboszcz jest zupełnie osamotniony, przygnębiony i zniechęcony do najwyższego stopnia. Ma do czynienia z cudzoziemcami, po większej części spekulantami lub awanturnikami rozmaitego rodzaju, pod duchownym zaś jego kierunkiem znajduje się ludność, rozproszona na przeszło stumilowej przestrzeni. Łatwo więc zrozumieć przyczynę jego przygnębienia.

Tylko szkoła dla chłopców i dla dziewcząt pod kierunkiem zakonników i zakonnic zdołałaby z czasem zmienić i przerobić na lepsze mieszkańców tej mieściny, wzniesionej na wapiennych skałach, prażonej od podzwrotnikowego słońca i całkiem oddanej handlowi i życiu materyalnemu. Czy Zgromadzenie nasze przyczyni się kiedy do tego dzieła odrodzenia? Dałby to Bóg Wszechmogący jak najwcześniej!

V.

Na rzekach *San Lorenzo* i *Cuyabà*. — Jak się podróżuje. — Obfitość ptactwa i ryb. — Tragiczny wypadek. — Z parowca na lichą łódź. — Wylądowanie. — Przybycie do stolicy.

Dnia 11go czerwca 1894 r. przed samą prawie nocą znaleźliśmy się już wszyscy na malutkim parowcu, zwanym *Coxipò*, gdzie nam zaledwie tylko pozwolono zabrać ze sobą niewielką walizkę, zawierającą najniezbędniejszą odzież. Resztę pakunków musieliśmy pozostawić w Corumbà, łożysko bowiem *Paraguayu* stało się już tak płytkiem, że statek mógł lada chwilę osiąść na mieliźnie. Oprócz osmdziesięciu kilku podróżnych, wiózł ze czterdziestu żołnierzy z ich żonami i dziećmi, murzynów, mulatów, Indyan i *metysów* [1]).

Mały nasz parowiec miał tylko dla kobiet parę osobnych kajut, mężczyzni zaś musieli mieścić się razem w jednej ogromnej kajucie. Szczęściem jednak poczciwy sternik ustąpił mnie i memu sekretarzowi swego pokoiku, w przeciwnym bowiem razie podróż w niezbyt miłych dla nas odbyłaby się warunkach.

W przedniej i tylnej części statku, jak również po obu bokach znajdowały się wąskie, otwarte korytarze, z przymocowanemi do ścian statku ławami. W dzień służyły one za miejsce do przechadzki i wspólną jadalnię, w nocy zaś za sypialnię dla wielu podróżnych. Każdy, jak mógł, urządzał sobie pościel. Worek lub derka, jakiej się używa w podróży, służyła za materac, walizka zastępowała miejsce poduszki i tak skuliwszy się gdzie w kącie, przepędzało się noc o ile się dało. Szczęśliwy, kto pomimo takich niewygód mógł i spać smaczno i wogólności wybornem cieszyć się zdrowiem: taki co najwyżej utyskiwał na członki odgniecone. Co się mnie tyczy, to znajdowałem się w nierównie gorszem położeniu.

Przebywając bowiem po całych dniach i tygodniach wśród bagnistych okolic, w których para wodna, wydzielająca się we dnie pod wpływem działania słońca, zgęszcza się w nocy i skrapla w postaci delikatnego deszczu lub wilgotnej a zawsze szkodliwej

[1]) *Metys* = urodzony z białego i Indyanki lub z Indyanina i białej.

rosy, która wnikała wszędzie, nabawiłem się silnego reumatyzmu w ramionach, bokach i kości pacierzowej, tak że bóle reumatyczne nieraz przez całą noc nie pozwalały mi zamknąć ani na chwilę oczu, rano zaś wstawałem z twarzą, pełną sinych plam i prążek. Nacierpiałem się tyle i tak długo, że dotąd jeszcze nie przyszedłem całkowicie do zdrowia. Chwała Panu Bogu, że przynajmniej moi towarzysze nie nabawili się niczego złego: owszem, od początku do końca podróży panowała w ich gronie ustawiczna wesołość.

Parowiec nasz zatrzymywał się co 24 godzin dla zaopatrzenia się w drzewo, zastępujące tu węgiel kamienny. Krótki ten odpoczynek następował zwykle w tych nielicznych miejscowościach, gdzie odważny jaki kolonista zbudował sobie chatę, aby na pobliskich, zabójczych niemal moczarach, uprawiać ryż lub kukurudzę.

Po dwudniowej żegludze pozostawiliśmy *Paraguay* na lewo, sami zaś wpłynęliśmy na rzekę *San Lorenzo*, której brzegi stanowią ojczyznę indyjskiego plemienia C o r o a d o s, do których niezadługo się udamy. Na spokojnych wodach *San Lorenzo* żeglowaliśmy w przeciągu 28 godzin, poczem pozostawiwszy tę rzekę na prawo, znaleźliśmy się przy ujściu niewielkiej rzeczki *Cuyabà*.

Aż dotąd nie zaszło nic, coby było godniejszego uwagi, lecz w miarę obniżania się poziomu wody, zaczęliśmy napotykać coraz więcej krokodyli, stanowiących prawdziwą plagę tych okolic.

Niejednokrotnie przepływaliśmy w odległości kilku tylko metrów od tych potworów, one jednakże najmniejszej na nas nie raczyły zwracać uwagi. Leżały niewielkiemi gromadkami na wilgotnym piasku z podniesionym nieco do góry łbem; ostre, ogromne ich kły, osadzone w olbrzymich szczękach, błyszczały w słońcu, przejmując widza grozą. W miarę posuwania się statku przeprowadzały nas swemi nieruchomemi a zawsze szeroko rozwartemi ślepiami. Z pokładu tym razem było zabronionem strzelać, inaczej nie jednego z tych potworów położonoby trupem.

Skóra ich bardzo jest poszukiwaną na pokrycie kufrów i walizek. Tu jednak nikt się nie trudni polowaniem na krokodyle, z wyjątkiem Indyan, którzy urządzają zresztą takie łowy wówczas jedynie, gdy głód do tego ich zmusi.

Po nad głowami naszemi przelatywały ciągle, skrzecząc przeraźliwie, niezliczone papugi. Najmniejsze z nich, zupełnie zielone, noszą nazwę *cotorritas*; drugie, najpospolitsze w tym kraju, mają pióra żółto-zielonawe. Przelatywały również ogromne papugi o piórach zielonych, żółtych i czerwonych, z olbrzymim zakrzywionym dziobem i błyszczącemi oczyma, odznaczające się taką rozmaitością odcieni właściwych sobie barw, jak gdyby upierzenie ich wyszło z pod pędzla najznakomitszego malarza. Tutaj zowią powszechnie te ptaki *araras*. Dzicy hodują je troskliwie w swoich namiotach najprzód dlatego, aby oswoiwszy nieco, wyrywać im pióra, któremi w dni uroczyste zdobią sobie głowę i pas dokoła bioder, powtóre zaś z powodu rozpowszechnionej wśród Indyan tradycyi, że dusze zmarłych przechodzą po śmierci do ciał *ararasów*.

Najbardziej atoli zasługuje na uwagę niezwykła obfitość ryb we wszystkich tamtejszych rzekach. Między innemi roją się tam *ryby królewskie*, *pacù*, *dorado*, *piraputanga* i t. p. rozmaitej wielkości a nawet i barwy, która przeważnie bywa jaskrawą. Mięso ich jest wyborne. Pluskają one wesoło w rzece całemi gromadkami, lub wyskakują na chwilę po nad powierzchnię wody, migocąc w promieniach słońca swą łuską, jaśniejącą wszystkimi kolorami tęczy. Ryby te mają wszakże licznych i groźnych nieprzyjaciół: krokodyle i kameleony pożerają ich mnóstwo, a nawet tygrysy, skoro głód im dokuczy, rzucają się do rzeki i chwytają je swymi pazurami. Tak zwany *wilk wodny* i *capivara*, są strasznymi wrogami całego rodzaju rybiego. Pierwszy z nich jest trochę większy od kota, drugi dosięga wielkości średniego psa, oba zaś wyłącznie żywią się rybami i wykopawszy sobie nory na brzegu, prawie ciągle przebywają pod wodą. Któżby wreszcie zdołał wyliczyć całe mnóstwo najróżniejszych gatunków wodnego ptactwa, które ustawicznie to przelatuje z jednego brzegu na drugi, to nurza się we wodzie lub pływa po niej, to znowu kołuje nad rzeką i upatrzywszy sobie zdobycz, rzuca się na nią, porywa i pożera?

A jaka tam rozmaitość pomiędzy temi stworzeniami powietrznemi: jedne drobne, małe, nie większe od naszych jaskółek, inne znowu ogromne, o skrzydłach olbrzymich, których długość rozciągnięta podczas lotu, dochodzi do dwóch metrów. Co za dziwne kształty ich szyj, nóg i dziobów, dłuższych lub krótszych, jaki przepych i rozmaitość w upierzeniu! Jakże tu nie podziwiać wielkości, mądrości i wszechmocy Pana Boga!

Pomimo tylu żarłocznych nieprzyjaciół, obfitość ryb w *paraguayskich* i *brazylijskich* rzekach jest istotnie zdumiewającą. Rybacy nie wiedzą nieraz co robić z rybami schwy-

tanemi: marnują się, a co najwięcej wrzucają je stosami do wielkich kotłów i wygotowują z nich tłuszcz, którego używają zamiast oleju do oświetlania, a także za okrasę do potraw. Podczas pory deszczowej we wrześniu i październiku rzeki zaczynają występować z brzegów i wówczas ryby-matki, pragnąc uchronić młode swe potomstwo przed żarłocznością krokodylów i innych wrogów, przeprowadzają je za pomocą tworzących się strumyków do stawów i jeziorek, które wskutek ulewy powstały po lasach, i tam składają ikrę.

Kiedy zaś w kwietniu lub maju zaczynają deszcze ustawać i wody odpowiednio się obniżać, z obawy by ich nie zaskoczyła susza, wracają ryby w długich szeregach, uszykowane jak wojsko, napowrót do dawnego łożyska rzeki, która w ten sposób posiada ich zawsze niezliczone mnóstwo. Zdarza się atoli nieraz, że jaki łowiec lub rybak zagrodzi im drogę, stawiając tamę w pobliżu ujścia potoku, którym ciągną do głównej rzeki, a wtenczas w miarę wysechania i bagien i strumieni, wyławiają je i wywożą pełnemi łodziami i furami.

Posuwając się ciągle korytem rzeki *Cuyabà*, dotarliśmy do miejsca, które niedawno temu zdobyło sobie nader smutną sławę z powodu tragicznego wypadku, jakiego było widownią. Zowią to miejsce *fazenda do aterrado*, czyli *willą na grobli* (domek bowiem jest zbudowany na kopcu, usypanym z ziemi, aby się ubezpieczyć przed wylewami).

Przed kilkoma laty żył tam z rodziną i kilkoma robotnikami kolonista, nazwiskiem FIGUEREDO. Trudnił się uprawą roli i hodowlą bydła, mając zaś dobre strzelby, a pragnąc odstraszyć, a przynajmniej trzymać na wodzy Indyan, wałęsających się w pobliżu, urządzał sobie na nich od czasu do czasu polowanie. Byli to właśnie Indyanie, noszący tonsury, czyli *Coroados*, do których teraz udawali się Salezyanie, aby wśród nich rozpocząć misye. Dzicy synowie lasu jednakże, miasto się dać odstraszyć, czując się owszem dotkniętymi w swojem prawie zwierzchnictwa, jakie sobie rościli do tej miejscowości, będąc nadto rozdrażnieni licznemi zabójstwami, popełnionemi na swych braciach, poprzysięgli srogiemu koloniście zemstę.

Razu więc pewnego, kiedy FIGUEREDO wraz ze swymi ludźmi pracował w dość odległym lesie, Indyanie napadli niespodzianie na jego żonę, otoczoną kilkorgiem dzieci, i wymordowali całą rodzinę. Następnie okrutni napastnicy zatknęli głowy matki i synów na drągach, utkwionych w ziemi na dziedzińcu, krew zaś ich wylali na talerze, stojące na stole i przygotowane już do wieczerzy.

O zmroku FIGUEREDO wracając do domu i nie słysząc radosnych głosów swych dzieci, które na wyścigi wybiegały zawsze na jego spotkanie — przeczuwając coś złego, przyspieszył kroku. Skoro znalazł się na swym dziedzińcu i ujrzał okropny widok, padł bez zmysłów. Jego parobcy zanieśli go do łodzi i uprowadzili daleko od nieszczęsnego miejsca, do którego nigdy nie chciał wracać. Żyje dotąd, lecz stan jego politowania godny: przechadza się samotny, gestykuluje rękami, wznosi oczy do nieba i płacze. Nieszczęśliwy, opłakuje niepocieszony straszny zgon swoich najdroższych.

Z głębokiem wzruszeniem poświęciłem krzyż, wzniesiony na miejscu owego strasznego wypadku, wzywając miłosierdzia Bożego nietylko dla niewinnych ofiar, ale także dla nielitościwych ich, lubo bezwiednych, katów.

Wieczorem dnia 15go czerwca zatrzymaliśmy się naprzeciw ładnego, chociaż ubogiego domku, przed którym czekał mię goniec, wysłany z Cuyabà przez prezydenta stanu Mato Grosso w celu zasięgnięcia wiadomości, czy misyonarze znajdują się na statku. Otrzymawszy przytakującą odpowiedź, spiął konia ostrogami i niezadługo znikł nam z oczu zagłębiwszy się w niezmierzonym lesie. Było to znakiem, że niewiele już drogi pozostało nam do przebycia. Podróż dalsza stawała się w zamian za tę pociechę coraz uciążliwszą, gdyż ogromne piaszczyste ławice, powstałe skutkiem powodzi, ciągle tamowały nam przejście.

Wtenczas poczciwy kapitan kazał przenieść do dużej łodzi, którąśmy na ostatnim przystanku ze sobą byli zabrali jako *holownik*, wszystkie walizki i tłómoczki, aby statkowi o ile możności ulżyć ciężaru, poczem spróbowaliśmy przebyć ławicę, co nam się rzeczywiście udało. Tem bardziej więc spodziewaliśmy się stanąć w Cuyabà dnia jutrzejszego po południu, ale srogo się omyliliśmy w naszych przypuszczeniach.

Nazajutrz dnia 17go czerwca wypadła niedziela. Kiedyśmy o świcie poczęli przygotowywać się do odprawienia Mszy św., dał się nagle słyszeć straszliwy łoskot: parowiec po raz drugi osiadł na mieliźnie. I tym razem kapitan nie zaniechał użyć wszelkich środków, ażeby przeszkodę ominąć. Kazał się przesiąść na łódź wszystkim pasażerom, jak również poznosić tamże tłomoki podróżne i tym sposobem statek mógł się podnieść na nowo. Ławicy jednakże tym razem przebyć już nie zdołał. Napróżno wysłano majtków

i wioślarzy, by sondowali dno rzeki, nadaremnie statek usiłował przesadzić ławicę to z prawej strony, to z lewej, to przez sam środek. Przejście stanowczo było zatamowane. Zaczem zarzucono kotwicę tuż przy brzegu w cieniu wysokich drzew i po raz ostatni zwołano wszystkich podróżnych na pokład na obiad.

Opuściliśmy więc na zawsze parowiec *Coxipò*, gdzie zostali się tylko żołnierze wraz ze swemi żonami i dziećmi, wszyscy inni zaś podróżni przenieśli się na łódź o dnie płaskiem, czyli t. z. *chata*, ściśnięci na niej jak śledzie w beczce. Noc też już zapadła.

Jakże okropnie długą ta noc nam się wydała! Sądziliśmy, że już nigdy się nie skończy. O zmroku moskity całemi chmarami na nas się rzuciły. Napróżno starałem się od nich zabezpieczyć, przywdziewając mimo nieznośnego gorąca wszystko co miałem przy sobie; nic to nie pomogło, przez najgrubszą bowiem nawet odzież długie ich żądło przenikało do ciała i sprawiało ból nie do wytrzymania.

Łódź nasza posuwała się powoli i z trudnością za pomocą długich żerdzi, zanurzanych w mętnej i bagnistej wodzie przez dziesięciu silnych i barczystych wioślarzy. Strugi potu spływały im po twarzy i obnażonych piersiach, muskuły zaś naprężały się niesłychanie. My zaś, zmuszeni mieścić się, jak się dało: w pośrodku lub po bokach łodzi, i otuleni wełnianemi kołdrami w celu uniknięcia niezwykle obfitej rosy, właściwej tym krainom, staraliśmy się znaleść we śnie trochę wytchnienia i spoczynku. Sen jednak nie przychodził. Ciągły odgłos uderzeń wioseł i śpiew krzykliwy wioślarzy nie pozwalał zamknąć powiek.

Wreszcie zajaśniała jutrzenka. Łódź zbliżyła się ku brzegowi, gdzie ją przywiązano do pnia drzewnego. Zmęczeni wioślarze mogli choć trochę odpocząć. Co do nas, wyskoczyliśmy na ląd i zaczęliśmy biegać po lesie, pragnąc w ten sposób wyprostować nieco stężałe od siedzenia członki. Następnie dano nam po sucharze i po kawałeczku kiełbasy, która królewskim wydała się przysmakiem. Oblawszy ją szklanką wody, zaczerpniętej z rzeki, wyruszyliśmy w dalszą drogę do Cuyabà, dokąd przybyliśmy dnia 18go czerwca w samo południe, przy odgłosie dzwonów, orkiestry wojskowej i wystrzałów moździerzowych. Tam zostaliśmy powitani i przyjęci z rozrzewniającą serdecznością przez X. Biskupa Karola D'AMOUR, prezydenta stanu Mato Grosso, dowódców wojskowych, urzędników miejskich i cały lud, który skupiwszy się koło nas, towarzyszył nam procesyonalnie wśród tumanów kurzu aż do kościołka San Gonzalo, gdzieśmy odśpiewali z radością i wdzięcznością uroczyste *Te Deum*.

VI.

Cuyabà, jej położenie, wygląd i płody roślinne. — Cywilizacya. — Barbarzyński zwyczaj. — Jakie mają zadanie misyonarze.

Cuyabà wznosi się na dwóch pagórkach, ciągnących się równolegle do rzeki i oddzielonych od siebie potokiem, który w pewnej porze roku całkowicie wysycha, lecz podczas ulewnych deszczów wzbiera nagle, występuje z brzegów i toczy majestatycznie wody swe ku rzece.

Ludność tego miasta dochodzi do 16,000 dusz. Ulice są wąskie i kręte, zaledwie jedna z nich posiada bruk (wiele zresztą pozostawiający do życzenia), wszystkie zaś inne pełne są rowów, kałuż i wybojów, a w porze deszczowej stają się kanałami; wówczas Cuyabà wygląda na Wenecyę. Domy przeważnie jednopiętrowe, odznaczają się zupełnym brakiem estetycznego poczucia, lecz posiadają wyborną wentylacyę, oraz mają po większej części rozległe dziedzińce i ogrody.

Kilka kościołów, wzniesionych w stylu staro-portugalskim, stanowią największą a nawet jedyną ozdobę tej mieściny. Wnętrze ich wygląda jak obszerna sala, zwężająca się w jednym końcu, o jednym lub trzech ołtarzach, pozbawiona przytem wszelkich niemal ozdób. Z jednej strony tej sali znajduje się presbyteryum, z drugiej zaś zakrystya. — Biskup ma zaledwie trzech kapłanów w swojej katedrze i całem mieście, ośmiu zaś na parafiach, z których kilka od lat już wielu wcale pasterza nie posiada. Większa część tego nielicznego duchowieństwa składa się w dodatku ze schorzałych i niedołężnych starców. Wprawdzie istnieje seminaryum, zostające od lat pięciu pod kierunkiem czterech gorliwych misyonarzy Lazarystów, którzy są prawdziwem narzędziem Opatrzności dla Kościoła Mato Grosso, lecz młodzieńcy, obdarzeni przez Boga powołaniem do stanu kapłańskiego, tak rzadko umieją wytrwać w szlachetnem swem postanowieniu, że w przeciągu lat szesnastu X. Biskup zdołał wyświęcić jednego tylko księdza. — W chwili zaś, w której piszę te słowa, zakład ów posiada *jednego* zaledwie ucznia, odbywającego obecnie drugi rok swych studyów.

Od lat trzech Cuyabà poszczycić się może *przytuliskiem* dla ubogich dziewcząt, powierzonem pieczy czterech Sióstr z Kongregacyi św. Wincentego à Paulo. Jest to ulubiony zakład X. Biskupa, który troszcząc się o jego utworzenie i rozwój, dokonywał nieraz prawdziwych cudów wspaniałomyślności, gorliwości i zaparcia się siebie. *Przytulisko* to połączone jest ze szkołą, w której kształci się teraz 40 uczennic stałych i tyleż przychodnich.

Wreszcie chcąc wyliczyć wszystkie osobliwości miasta Cuyabà, wymienić musimy koszary, arsenał należący do marynarki, aptekę, teatr ludowy, nader rzadko otwierany dla publiczności, tudzież liczne sklepy i składy handlowe, dostarczające mieszkańcom całego stanu Mato Grosso przedmiotów, niezbędnych do codziennego życia, ale po niesłychanie wygórowanych cenach. Grunt jest bardzo żyzny, obfitujący w wodę, drzewo, tudzież przeróżne kopalnie: złota, srebra i żelaza, dotąd jeszcze należycie nie wyzyskane. Płody roślinne są również bardzo urozmaicone, niektóre zaś z nich nawet wielką posiadają wartość. Do nich należą przedewszystkiem: *guma elastyczna* i *ipecacuana*, stanowiące główny artykuł handlu, wywożony z rozległej tej krainy.

Ipecacuana jest to korzeń drzewa, zwanego tutaj *puaya*, rosnącego we wszystkich tutejszych lasach i rozmnażającego się za pomocą drobnych korzonków, które zawsze w gruncie pozostają.

Przeciwnie, *gumy elastycznej* dostarcza wielkie, proste, o wysokim trzonie i bardzo piękne drzewo, zwane przez botaników *syfonia elastica*. Rośnie ono na niskich gruntach, które corocznie w przeciągu siedmiu przeszło miesięcy stoją pod wodą (w czasie wylewu mniejszych i większych dopływów królowej rzek *Amazonki*).

Drzewa te, nazywane tu *siringaes*, tworzą gęste i nieprzeniknione lasy, w większej części dotąd jeszcze niezbadane i stanowią źródło łatwego zarobku dla mieszkańców pobliskich wiosek, a zarazem bogactwo całego narodu.

Jeden jedyny przemysłowiec może, jeżeli się skrzętnie weźmie do pracy, otrzymać dziennie więcej, niż 30 kilogr. gumy, wartość zaś tejże wynosi na miejscu 4 franki za jeden kilo. A jak im łatwo przychodzi ją zbierać!

Robotnicy nacinają w kilku miejscach korę drzewa, z pod której spływa sok do małych, nadzwyczaj lekkich miseczek, wyrabianych z łupiny rośliny, podobnej nieco do dyni, a dających się przylepić do trzonu drzewa choćby garścią błota. Sok ten zebrany wieczorem do garnka i zgęszczony należycie na ogniu za pomocą rozmaitych chemicznych dodatków, przerabia się w niewielkie kule, sprzedawane tutejszym handlarzom, którzy je następnie wywożą do Anglii, a tam zostają użyte do wyrobu różnorodnych kauczukowych przedmiotów.

Tu i owdzie w olbrzymich tych lasach napotyka się także drzewo *chininowe*, oraz *wanilię*; nad brzegami rzek rośnie *salsaparilla*, w okolicach zaś graniczących z Paraguayem mieszkańcy prowadzą rozległy handel herbatą z liści *mate*, to jest drzewka, wielkości pomarańczowego lub brzoskwiniowego drzewa. Liście jego, znane w handlu pod nazwą *yerba mate*, po wysuszeniu w piecu i zmieleniu, dostarczają proszku, którego odwar przypomina nieco swym smakiem indyjską herbatę, lecz daleko silniejszy od niej posiada zapach i znacznie więcej garbniku.

Pomijam milczeniem *trzcinę cukrową*, dochodzącą tutaj do niezwykłych rozmiarów, *bawełnę*, *kakao*, *ryż*, *kukurudzę* i *fasole*, których zbiór corocznie po kilka razy się odbywa i za każdym razem bardzo bywa obfity.

W wielu miejscowościach *plantacye kawy* również pomyślne przynoszą plony. Pszenicę naszą zastępuje wszędzie *mandioca*, czyli roślina podobna nieco do *geranium*, lecz znacznie od niej większa. W przeciągu ośmiu miesięcy korzeń jej wyrasta w ogromną bulwę, większą od naszej rzepy, mającą około dwóch metrów długości na 20 przeszło centymetrów średnicy. Po upieczeniu korzenia tego na ogniu, lub ugotowaniu w ogromnych kotłach, krajowcy trą go lub mielą i otrzymują mąkę, używaną w najrozmaitszy sposób i stanowiącą najpospolitszy artykuł żywności.

Na prowincyi cywilizacya bardzo mało dotychczas się rozpowszechniła, wszelkie zaś wygody życia i komfort, właściwy miastom, zupełnie są tam nieznane.

W ciasnej chałupie, zbudowanej z pni drzewnych i pokrytej palmowymi liśćmi lub suchą trzciną indyjską, nieraz na obudwóch przeciwnych sobie końcach otwartej, mieszkają mężczyzni, kobiety, chłopcy i dziewczęta razem z wieprzkiem, kozą i przynajmniej pół tuzinem psów. Niema tam ani stołu, ani krzesła lub szafy. Dwa kamienie z garnkiem metalowym lub glinianym, stanowią całą kuchnię, las zaś pobliski salę jadalną. Do słupów chaty przytwierdzone bywają kawałki starych sieci, służące w dzień za krzesła

a w nocy za łóżka, czyli raczej *hamaki*. Oto i cały wykwint w mieszkaniach biednych ludzi. W najbogatszych tylko chatach widzieć można, jako jedyny sprzęt domowy, stary kufer, kupiony gdzieś na tandecie i kryjący w swem wnętrzu odświętne stroje i kosztowności całej rodziny.

Niewłaściwie zresztą, mówiąc o ludności wiejskiej w Mato Grosso, używam wyrazu *rodzina*, małżeństwa bowiem legalne należą tam do osobliwości, kółka zaś rodzinne niby, rozproszone po wioskach i koloniach, noszą na sobie charakter związków tymczasowych, na wypowiedzenie, bez wzajemnego małżeńskiego przywiązania i rodzicielskiej troskliwości o dzieci.

A jednak tak niezwykła żyzność gruntu i obfitość darów Bożych, pozwalają każdemu tamtejszemu mieszkańcowi zdobyć sobie uczciwe i niezależne stanowisko, a nawet bez wielkiego trudu przekazać swym dzieciom uczciwie nabyte mienie. Ale, niestety, gorący klimat, właściwy tej krainie, wielka łatwość zdobycia sobie pożywienia za pomocą rybołowstwa lub zbierania płodów roślinnych, nie potrzebujących starannej uprawy, jak naprzykład *bananów*, *pomarańcz* i *mandioca*, rozleniwiają ludność do najwyższego stopnia.

Wogóle mieszkańcy Mato Grosso nie myślą nigdy o jutrze, lecz zaspokoiwszy głód w sposób mniej więcej zadawalniający, rozciągają się gdzie w cieniu i palą fajkę, popijając arak, wyrabiany z *trzciny cukrowej*.

W niektórych okolicach dzieci do lat dwunastu, a nawet i dłużej, nie posiadają wcale odzieży. Bolesnym jest doprawdy widok tylu stworzeń Bożych, nie mających najlichszej choćby szmaty na pokrycie swej nagości i przebiegających ulice wiosek, lub małych miasteczek zupełnie tak, jak dzikie leśne zwierzęta, od których różnią się jedynie tem, że nie chodzą na czterech łapach.

W wielu zakątkach tej prowincyi istnieje barbarzyński zwyczaj zaostrzania dzieciom zębów siecznych w ósmym roku ich życia. Manipulacya ta w prawdziwie okrutny odbywa się sposób, gdyż przyłożywszy do zęba nóż, krajowcy uderzają weń młotem, co biednemu dziecku sprawia ból niesłychany. Jedynym zaś wynikiem bolesnej operacyi jest to, że nieszczęśliwa, poddana jej istota, może później przez całe życie popisywać się zębami ostrymi jak u krokodyla.

Nie znają tu wcale narzędzi rolniczych, używanych w Europie, naprzykład pługa, używając jedynie i wyłącznie rydla do wszelkiego rodzaju uprawy gruntu. Zresztą przyroda tak hojną dłonią sypie tu swe dary, że na najmniejszym nawet i najgorzej uprawionym kawałku pola, kilkakrotny zbiór plonów w przeciągu każdego roku wynagradza sowicie trudy rolnika.

Wogóle dziwić się należy, widząc, że wśród tylu bogactw, po które tylko dłoń trzeba wyciągnąć, mnóstwo ludzi żyje w niedostatku, graniczącym prawie z nędzą. Ach! gdyby umieli, a raczej, gdyby *chcieli* pracować jak się należy i ciągnąć zysk ze swej pracy! Trudno zaiste byłoby znaleść na świecie bogatszą i szczęśliwszą krainę, jak Brazylia. Z tego też powodu jednem z pierwszych starań tych, którzy się podejmą jej ucywilizowania, powinno być otwarcie *szkół rolniczych*, tudzież najpospolitszych i najniezbędniejszych w życiu codziennem rzemieślniczych warsztatów.

Za pomocą nauki i pracy można będzie z łatwością podnieść poziom oświaty, moralności i dobrobytu tego ludu, z natury dobrego, łagodnego, pojętnego, a zarazem wolnego od wad i złych skłonności, stanowiących istotną klęskę wielu krain, w których obok cywilizacyi panuje bezwyznaniowość. Spędzanie płodu np., dzieciobójstwo i inne tym podobne ohydy, praktykowane gdzieindziej, tutaj są całkiem nieznane, tak iż choćby tylko dlatego samego słusznie nadzieję mieć można, że Pan Bóg w miłosierdziu swojem ulituje się nad tutajszym ludem i że mu przyśle gorliwych misyonarzy i dzielnych nauczycieli, którzy nietylko — choć to jest bez wątpienia najważniejszem — pokierują nim na drodze, prowadzącej do zbawienia wiecznego, lecz podniosą zarazem jego poczucie godności osobistej i dostarczą mu środków odpowiednich i pouczą go, jak podnieść i utrwalić dobrobyt, a co za tem idzie, także znaczenie i poważanie, co wszystko razem wzięte podwyższyłoby go w jego własnych oczach i wobec obcych.

Z tem wszystkiem praca nasza w tych oto stronach ma przedewszystkiem na celu zaopiekowanie się biednymi Indyanami i X. Rua z pewnością oczekuje odemnie wiadomości, tyczących się ich wprost.

Otóż donoszę, że już dnia 16go sierpnia, w święto Matki Boskiej *del Carmine* księża Malan i Solari wyjechali do okolic, leżących nad *San Lorenzo* i stanowiących terytoryum indyjskiego plemienia Coroados. Stamtąd bez wątpienia nadeślą wkrótce księdzu Rua wcale ciekawych wiadomości.

Rząd stanu Mato Grosso odstępuje nam kierownictwo tego plemienia Indyan, które tworzy t. z. *colonia Teresa Cristina*,

rządzonej dotychczas po wojskowemu z załogą, liczącą 25 żołnierzy. Prezydent stanu, adwokat Józef Manuel MURTINHO, człowiek bardzo prawy, odwołał pułkownika, który był dotychczas dowódcą załogi i zwierzchnikiem Indyan, i złożył całą władzę w ręce misyonarzy, upoważniając ich zarazem do wprowadzenia wszelkich zmian, jakie uznają za niezbędne. Dał naszym współbraciom wybornego przewodnika i cztery muły, objuczone zapasami żywności. Misyonarze będą musieli jechać konno przez dni dziesięć wśród wspaniałych lasów Mato Grosso, mięsa dostarczą im upolowane w ciągu podróży zwierzęta. Sypiać muszą naturalnie pod gołem niebem w *hamakach*, zawieszonych na gałęziach drzew, aby się zabezpieczyć od pieszczot tygrysów i odwiedzin ze strony wężów. O tem jednakże oni sami będą umieli coś bliższego donieść.

Plemię Coroados należy do rasy Tupì, zamieszkującej północną i zachodnią część Brazylii. Indyanie zaś z południowych prowincyi tego kraju, jak również z Paraguayu, zaliczają się do rasy Guaranì. Ilość tych Indyan, wiodących przeważnie w lasach koczownicze życie, dochodzi obecnie zaledwie do 20,000. Z tych zaledwie 300 każdego miesiąca zgłasza się do *kolonii* po wyznaczoną sobie przez rząd żywność, poczem włóczą się po lasach i nad brzegami rzek i jezior. Pierwszem więc zadaniem naszych misyonarzy będzie przyciągnąć ich do siebie, skłonić do stałego zamieszkania i założyć dla nich osady, w którychby nauczyli się pracować w roli, i gdzie byłaby możebność oświecania ich i nawrócenia.

Zanim jednakże to nastąpi, zanim danem nam będzie odnieść tak piękne zwycięstwo nad barbarzyństwem, ile to czasu upłynie, ile trudów i pracy dzieło to będzie kosztować, ile ofiar trzeba będzie ponieść, to jednemu tylko Panu Bogu wiadome.

My jednakże Salezyanie ufamy silnie w pomoc, jakiej nam niechybnie udzieli Najśw. Marya Panna Wspomożenie Wiernych i spodziewamy się niezadługo wznieść chwalebny krzyż Pana i Zbawiciela naszego JEZUSA CHRYSTUSA w dziewiczych, brazylijskich lasach i pod jego ramiona przygarnąć nietylko Indyan Coroados, lecz i Bakiherins i Charvantes i setki innych plemion, wałęsających się obecnie, wolnych jak wiatr w polu, pod sklepieniem olbrzymich a rozsochatych drzew w gęstych lasach strefy podrówpikowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIERWSZE

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.

Rozdział VI.

Oratoryum przy kościele *św. Piotra w okowach*. — Księża gospodyni. — Skarga. — Dwa wypadki nagłej śmierci. — Oratoryum, ze stałego zamienione na wędrowne, następnie przeniesione do domu X. Moretty. — Gadaniny. — Proboszczowie turyńscy. — Nowe wypowiedzenie miejsca.

PIERWOTNE nasze Oratoryum i jego ustawiczne przenoszenie się z miejsca na miejsce dałoby się pod pewnym względem wcale trafnie przyrównać do sposobu życia starozakonnych patryarchów: tak jak oni bowiem zwijało od czasu do czasu swe namioty, by rozbić je znowu gdzieindziej. Żyjący dziś jeszcze (już bardzo nieliczni) wychowankowie ówczesnego Oratoryum wspominają, że X. Bosko przytaczał często ten przykład z historyi świętej i dodawał chłopcom otuchy, ciesząc ich nadzieją, że prędzej czy później Pan Bóg także ich wprowadzi do Ziemi obiecanej, gdzie już na stały zatrzymają się pobyt. Słowa te jego miały się niezadługo ziścić.

Zmuszony wynieść się z okolic *młynów św. Marcina* (o czem była mowa w poprzednim rozdziale), prosił X. Bosko *municypium* turyńskie, by mu pozwoliło zgromadzać chłopców na dziedzińcu, przytykającym do kościoła *Grobu Pańskiego* (*Cenotafio del SS. Crocifisso*), zwanego pospolicie *Cimitero di s. Pietro in vincoli* (*cmentarzem św. Piotra w okowach*). Ponieważ tak *Sindaco* (burmistrz) jak w ogóle cała Rada miejska byli w gruncie przeświadczeni o nieprawdziwości skarg, zanoszonych przez młynarzy, parobków i urzędników z *Molini di s. Martino*, więc prośba księdza Bosko, zwłaszcza że miała za sobą zezwolenie i poparcie Najprzew. X. Arcybiskupa FRANSONI'ego, znalazła w *municypium* dość przychylne przyjęcie i została wysłuchaną.

Tak więc po niespełna dwumiesięcznym pobycie przy kościołku *św. Marcina* przeniosło się Oratoryum znowu w inne miejsce, tym razem o wiele dogodniejsze i stósowniejsze od poprzedniego. Długi przysionek, obszerny dziedziniec tuż przy kościele, nadewszystko zaś sam dom Boży, pod każdym względem nadający się do potrzeb *kaplicy świątecznej* księdza Bosko, — wszystko to nietylko wprawiło chłopców w zachwyt, lecz wywołało wśród nich wybuchy szalonej radości.

Niestety, radość ta miała trwać nader krótko. Zaledwie zaczęli jej nieco kosztować, a już zamieniła im się w nieznośną gorycz.

Opodal owego cmentarza bowiem gnieździł się groźny nieprzyjaciel. Nie był nim, broń Boże, żaden upiór, żaden wogóle z licznych nieboszczyków, którzy tam zostali złożeni na wieczny spoczynek: była to owszem istota żyjąca — ni mniej ni więcej, tylko gospodyni księdza kapelana.

Zaledwie posłyszała śpiewy, głośne nawoływania, a szczególnie hałas bawiących się chłopców, wypadła z furyą z plebanii i, czepek mając przekręcony na bakier a pięści silnie osadzone w stanie, jęła ich obrzucać potokiem doborowych i tak co do formy jak również treści wytwornych słów, w jakich sobie podoba i bywa niezrównanym mistrzem język prostej a zacietrzewionej niewiasty. Razem z Jejmością wrzeszczała jakaś dziewka, wył pies księdza kapelana, miauczał ulubiony gospodyni kot, gdakały przestraszone kury: słowem w całej plebanii wszczął się rwetes, jak gdyby lada chwilę miała wybuchnąć wojna europejska.

Słysząc jej gwałtowną perorę, zbliżył się X. Bosko do niej i starał się ją uspokoić, perswadując jej w różny sposób, że chłopcy nie zgromadzili się tam w żadnym złym zamiarze, że się tylko zabawiają, nie czyniąc nikomu żadnej krzywdy; — wszystko było nadaremne. Nietylko, że nie zdołał uśmierzyć gniewu roznamiętnionej Jejmości, ale w zamian za swoje perswazye otrzymał od niej całą salwę obelg i zniewag. Widząc, że nic nie wskóra, rozkazał zatem X. Bosko przerwać zabawy, a wstąpiwszy do kościoła, miał krótki wykład katechizmu i odmówił wspólnie z chłopcami różaniec. Poczem wszyscy rozeszli się do domów, nie tracąc nadziei, że w następną niedzielę będą się tam mogli znowu zebrać, ale już bez narażania się na podobne jak dzisiaj napaści. Lecz srogo się zawiedli w swoich oczekiwaniach: był to bowiem pierwszy, ale zarazem i ostatni raz, jak im danem było zgromadzić się w tem miejscu.

Wieczorem tego samego dnia, gdy X. kapelan Tesio wrócił do domu, opadła go zawzięta gospodyni, zowiąc księdza Bosko i jego chłopców wprost bezcześcicielami miejsca świętego, a wszystkich uczestników Oratoryum bez wyjątku hołotą ostatniego rzędu, i tyle mu dogadywała, że go nakłoniła do napisania skargi do *municypium*. Pod wpływem wrzasków rozjątrzonej kobiety i prawie za jej dyktowaniem, wystósował kapelan do Rady miejskiej donos przeciw Oratoryum w tak ostrych ułożony wyrazach, że wydano natychmiast rozkaz uwięzienia księdza Bosko, skoroby się tam poważył jeszcze raz pokazać z chłopcami.

Żal się robi doprawdy powiedzieć, co dalej nastąpiło: był to już ostatni list, jaki wogóle w swojem życiu pisał nieszczęśliwy kapłan. Wysłał go w poniedziałek rano a w kilka godzin potem, rażony apopleksyą, padł trupem na ziemię. Nie dosyć na tem: zaledwie się zawarło wieko jednej trumny, gdy wraz otworzyło się drugie. Dotknięta temżesamem dopuszczeniem Bożem, w dwa dni później poszła za swoim panem gospodyni, tak że nie upłynęło pół tygodnia, a dwóch przeciwników Oratoryum zeszło nagle z widowni tego świata.

Łatwiej przychodzi sobie wyobrazić, niżli opisać, wrażenie, jakie dwa te wypadki nagłej śmierci wywarły w całem mieście. Niepodobna tu było nie widzieć działania ręki Bożej; to też chłopcy tak dalece byli o tem przeświadczeni, że miasto rozłączyć się ze swoim mistrzem, tem bardziej się owszem przywiązali do niego i jego Oratoryum, postanawiając silnie, jednego i drugiego nigdy nie opuścić.

Otrzymawszy zakaz zbierania chłopców u *św. Piotra w okowach*, szukał X. Bosko jeszcze w ciągu tego samego tygodnia innego jakiego miejsca, lecz nigdzie go nie mógł znaleść. Ponieważ więc nie zdołał poprzednio chłopców uwiadomić, gdzie się mieli zbierać, zatem w następną niedzielę wielka ich liczba udała się znowu do *św. Piotra*, lecz znalazłszy tam wszystko pozamykane, na drzwiach zaś kościoła przybite obwieszczenie *municypium*, ażeby się chłopcy nie ważyli zgromadzać ani na dziedzińcu przy cmentarzu, ani na którymkolwiek z placów publicznych Turynu, wylali się jak fala na stare miejsce do *Rifugio*.

Mieszkanie księdza Bosko już i tak ciasne, było nadto właśnie wtenczas zapchane kupą najróżniejszych gratów, tak iż zaskoczony takiem mnóstwem młodzieży, nie miał zacny kapłan nawet na cal wolnego miejsca,

gdzieby ich wszystkich pomieścić. Chociaż nad wyraz tem zafrasowany, ukrywał wszakże jak mógł zmartwienie, jakie mu rozpierało duszę, okazywał na zewnątrz wyborny humor i dodawał chłopcom otuchy, prawiąc im dziwy o przyszłem Oratoryum, które jak na teraz istniało tylko w jego myśli i w wyrokach Boskiej Opatrzności.

Z powodu ciasnoty miejsca, a w ogólności niepodobieństwa zgromadzania się w *Rifugio* lub przy *szpitaliku*, zamieniło się Oratoryum z konieczności ze stałego na wędrujące; przez dwa blisko miesiące prowadziło życie koczownicze, zbierając się pod gołem niebem, za każdym razem gdzieindziej, odbywało się zaś w sposób następujący: Z rana, w każdą niedzielę i święto, zbierali się chłopcy przed mieszkaniem księdza Bosko, każdy zaopatrzony w żywność na cały dzień. O naznaczonej godzinie Przewodnik kazał im się ustawić w szeregi i na dany znak do pochodu prowadził ich poza Turyn, to do Sassi, to do Madonna del Pilone, do Madonna di Campagna, na wzgórek kapucyński, a niekiedy nawet aż na Soperge.

Stanąwszy na miejscu, X. Bosko odprawiał Mszę św., a następnie miewał krótki wykład Ewangelii, przypadającej na odnośną niedzielę lub święto. Po południu odbywszy krótką naukę katechizmu, gdy chłopcy odśpiewali kilka zwrotek jakiej pieśni nabożnej, na zakończenie opowiedział im budujący jaki przykład we formie kazania, poczem brał ich ze sobą na przechadzkę, lub prowadził na takie miejsce, gdzie się mogli bawić swobodnie, bez szkody dla siebie i dla drugich. Kiedy zaś słońce zaczynało się już chylić poza śnieżne szczyty Alp, na dany przez niego znak powracano do miasta, gdzie każdy udawał się spokojnie do domu, by ciekawym domownikom opowiadać, gdzie był i co widział i słyszał.

Niejednemu czytelnikowi zdawaćby się mogło, że podobny sposób odbywania zebrań świątecznych na wolnem powietrzu, a wogóle krytyczne położenie, w jakiem się sprawa *kaplicy świątecznej* wówczas znajdowała, powinnyby u jej kierownika rozwiać wszelką nadzieję i odjąć mu ochotę zajmowania się nią jeszcze nadal, chłopców zaś zwolna zniechęcić i rozproszyć na wszystkie strony. Otoż rzeczy się miały wprost przeciwnie: zebrania te i odbywanie nabożeństwa pod gołem niebem, nietylko ich nie rozbiły, ale przyczyniły się znakomicie do powiększenia ich grona, Pan Bóg bowiem był widocznie z nimi i z ich Przewodnikiem.

Tymczasem nadszedł miesiąc listopad a z nim pora słotna i ze wszech miar niestósowna na przechadzki. Wypadało koniecznie wyszukać w samemże mieście jakoweś miejsce ustronne a dogodne, gdzieby bez obawy narażenia się na zatargi z sąsiadami założyć i odbywać spokojnie było można *kaplicę świąteczną*. X. Bosko, zgodnie z księdzem Dr. Borel'em, najął więc w tym celu trzy pokoje w domu niejakiego księdza Moretty, przy ulicy Cottolengo, tam gdzie obecnie wznosi się kaplica **Sióstr Panny Maryi Wspomożenia Wiernych**. Tu przepędzono cztery miesiące (od listopada 1845 do marca 1846) w dość wielkiej co prawda ciasnocie, lecz z niemałem zadowoleniem wszystkich, że się miało przynajmniej na zimę jaki taki własny kąt, gdzie można się było zbierać, tamże się spowiadać, miewać dalszy ciąg nauki katechizmu, zabawiać się przyzwoicie i uczęszczać do szkółki wieczornej. Nie mając wszakże w domu kaplicy, udawano się co niedzielę i święto na Mszę św. po staremu to do tego, to do owego z pobliskich kościołów turyńskich.

Tej samej zimy (z r. 1845 na 1846) zaczęły się w mieście szerzyć o naszem Oratoryum różne gadaniny, które jeżeli nie samemuż księdzu Bosko, to w każdym razie jego chłopcom niemałą sprawiały przykrość. Niektóre złe języki zaczęły księdza Bosko nazywać buntownikiem, inne waryatem, a jeszcze inne wprost heretykiem. Ani chybi mówiono tak w zamiarze oderwania od niego chłopców i przyczynienia się choć w taki sposób do rozwiązania niedzielnych ich zebrań: chłopcy wszakże, którzy dobrze znali swego Mistrza, nietylko nie poszli na lep niedorzecznych plotek i bynajmniej nie stracili dla niego poważania, lecz tem więcej mu je okazywali, kupiąc się koło niego w coraz liczniejszem gronie i coraz więcej się doń przywięzując.

W tymże samym czasie także różni proboszczowie turyńscy uznali za stósowne zająć się sprawą Oratoryum księdza Bosko i powziąć co do niego pewne uchwały. Rozumowali oni tak: *Oratoryum odciąga chłopców od kościoła parafialnego: wkrótce więc zobaczymy kościoły nasze stojące pustkami i nie będziemy mogli nigdy poznać należycie dzieci, co jest przecież naszym obowiązkiem i za które będziemy musieli kiedyś zdawać ścisły rachunek przed trybunałem Bożym. X. Bosko niech lepiej zaniecha gromadzić je koło siebie i miasto je pouczać sam, niech raczej je posyła na naukę katechizmu do naszych kościołów.*

Jak rzekli tak zrobili. Pewnego więc dnia

dwóch czcigodnych proboszczów turyńskich przyszło do księdza Bosko i wyłuszczyli mu swoje zapatrywanie na jego zebrania świąteczne w sposób, jak powyżej.

—„Chłopcy, których ja zbieram,“ odpowiedział na ich przedstawienia X. Bosko, „nie stoją bynajmniej na przeszkodzie uczęszczaniu młodzieży do parafialnych kościołów.“

—„A to dlaczego?“

—„Ponieważ prawie wszyscy są zamiejscowi i przybyli do Turynu jedynie w celu poszukiwania pracy. Istotnie, przeważna część chłopców, uczęszczających do Oratoryum, są to *Sabaudczycy*, *Szwajcarzy*, lub też pochodzą z *Val d'Aosta*, z okolic *Bielli*, *Nowary*, niektórzy nawet przyszli aż z *Lombardyi*.“

—„A czyby ksiądz Dobrodziej nie mógł ich wysyłać do tych parafii, w obrębie których zamieszkują?“

—„Kiedy ich nawet nie znają.“

—„A nie możnaby im w jaki sposób dać je bliżej poznać?“

—„Jest to moralnem niepodobieństwem. Nasamprzód brak opieki rodzicielskiej, a potem różne dyalekty, którymi mówią, dalej: ciągłe zmiany mieszkania, praca raz u tego, to znów u innego chlebodawcy, zły przykład towarzyszów, często bezbożnych i z gruntu zepsutych, wszystko to razem wzięte jest nieprzezwyciężoną przeszkodą, by młodzież ta mogła, jakby zresztą powinna, uczęszczać do własnego kościoła parafialnego. Co więcej: wielu z nich jest dorosłych: niektórzy liczą po 15, 18 a nawet 20 lat, a jednak nie mają nieraz najmniejszego pojęcia o nauce wiary i dobrych obyczajów. Któżby ich zresztą zdołał nakłonić, by się postawili na stanowisku żaków szkolnych i zasiedli na wspólnej ławce razem z chłopcami ośmio-lub dziesięcioletnimi, a więcej już od nich posiadającymi katechizmowych wiadomości?“

—„A czy ksiądz Dobrodziej, mając taki wpływ na tę młodzież, nie mógłby osobiście co niedzielę i święto przyprowadzać ją do kościoła parafialnego i tam jej udzielać nauki katechizmu?“

—„Mógłbym co najwyżej udawać się do jednego kościoła parafialnego, gdyż niepodobnaby mi było w jednym i tymsamym czasie znajdować się w kilku miejscach naraz. Możnaby ostatecznie urządzić się także w ten sposób, że każdy proboszcz przychodziłby w dni świąteczne po swoją cząstkę, lub przynajmniej przysyłał kogoś takiego, którbyby chłopców zbierał i do właściwej parafii odprowadzał. Lecz wszystkie te zabiegi nie na wieleby się zdały: wielu bowiem z tych chłopców uczęszcza do Oratoryum, przyciągnięci tam różnemi rozrywkami, zabawami i wspólnemi przechadzkami, jakie od czasu do czasu sobie urządzamy. (Tu X. Bosko mógłby był jeszcze dodać: *przedewszystkiem zaś przyciągnięci ludzkiem, pełnem wyrozumiałości i miłości obchodzeniem się mojem z nimi*). Takimi bowiem sposobami nakłaniam ich do nauki katechizmu i do pełnienia nakazanych prawem Bożem i kościelnem praktyk religijnych. Bez tego, o ile ich znam, zapewneby wcale do żadnego kościoła nie uczęszczali i tak nie mieliby sposobności zajmowania się nimi ani proboszczowie, ani ja, z wielką szkodą dla ich dusznego dobra. Właśnie dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa,“ dodał, „byłoby rzeczą arcypożyteczną, gdyby każda parafia miała jakieś ustronne i odpowiednie miejsce, gdzieby tacy chłopcy w niedziele i święta się zgromadzać i w przyzwoity sposób zabawiać i pouczać mogli.“

—„Dla nas jest to niemożliwem do wykonania. Nie mamy bowiem na to ani czasu, ani miejsca, ani nawet ludzi odpowiednich, którzyby nas zastępować i takiemi rzeczami zajmować się mogli.“

—„A więc?“ . . . spytał X. Bosko.

—„Więc jak na teraz,“ zakończyli obydwaj proboszczowie, „niech ksiądz Dobrodziej robi, co uważa za najlepsze, my tymczasem się zbierzemy i uchwalimy, co nam się w Panu będzie widziało za najstósowniejsze.“

W samej rzeczy zebrawszy się wkrótce potem wszyscy proboszczowie z Turynu na wspólną naradę, omawiali tam żywo kwestyę, czy Oratorya, takie jak księdza Bosko, należy popierać, czy też potępić. Padały zdania za i przeciw, ostatecznie jednak przeważyła opinia przychylna. Proboszcz z *Borgo Dora*, X. Augustyn Cattino, i X. Dr. Ponzati, proboszcz kościoła *św. Augustyna*, otrzymali polecenie zawiadomienia księdza Bosko o zapadłej uchwale, w następujących streszczonej wyrazach: „*Proboszczowie miasta Turynu, zebrani na wspólnej konferencyi, zastanawiali się nad stosownością zakładania kaplic świątecznych. Roztrząsnąwszy należycie wszystkie pro i contra, oraz zważywszy, że w danych okolicznościach nie każdy proboszcz mógłby się postarać o założenie Oratoryum w swojej parafii, zachęcają księdza Bosko, by dzieło, tak szczęśliwie przez siebie rozpoczęte, dalej prowadził, tak długo, dopóki nie zapadnie inna co do niego uchwała.*“

Tu niech mi będzie wolno zrobić następującą uwagę: Proboszcz, jako rządca pa-

rafii, jest bez wątpienia obowiązanym udzielać potrzebnej nauki religijnej tak dobrze *dorosłym*, jak również *młodym* parafianom, pieczy swojej powierzonym. Gdy jednakże widzi lub wie, że w tem lub owem miejscu jego parafii (zwłaszcza jeżeli jest rozległą), takowej *servatis servandis* udziela ktoś inny wprawdzie, ale nie mniej przeto we właściwy i należyty sposób, popełniłby, zdaje mi się, co najmniej nieroztropność, gdyby nauce katechizmu, tak udzielanej, stawiał jakiegobądź rodzaju przeszkody. Tego rodzaju nieroztropności nie dopuścili się nigdy XX. Proboszczowie turyńscy, pragnący zawsze i wszelkimi środkami, im przysługującymi, popierający moralne dobro młodzieży.

Owszem, niektórzy z nich nietylko że wspierali *kaplice świąteczne*, przez X. Bosko w różnych częściach miasta założone, polecając ojcom i matkom rodzin, by posyłali do nich swe dziatki, lecz z biegiem czasu, nie szczędząc osobistych wydatków i trudów, sami je zakładali po swoich parafiach, jak to między innymi uczynili n. p. XX. proboszczowie kościołów *San Pietro e Paolo*, *Santa Giulia* i *Gran Madre di Dio* w Turynie. W ten sposób doczekali się tej słodkiej pociechy, że danem im było widzieć na dobrej paszy młode owieczki swojej parafii, a zarazem trzymane zdala od drapieżnych wilków, a to za pomocą nauk, połączonych z przyzwoitemi grami i zabawami, jak niemniej *ogródkami rekreacyjnymi*. Ze swej strony Najprzew. X. Arcybiskup Fransoni, mąż zarówno zdrowego rozsądku jak szerokiego serca, nie odmawiał księdzu Bosko nigdy swej pomocy i dobrej rady, zachęcając równocześnie wszystkich rządców parafii w rozległej swej dyecezyi do naśladowania tak pięknego przykładu.

Podczas gdy się działo to wszystko, co wyż nadmieniliśmy, nadeszła wiosna roku 1846 a z nią nowe przenosiny dla naszego Oratoryum.

Prócz trzech bowiem pokojów, w których X. Bosko zgromadzał młodzież, reszta część domu księdza Moretty była wynajętą różnym komornikom, którzy chociaż dosyć chętnem okiem patrzeli na dobro, jakie się w domu, przez nich zamieszkałym, dla tylu młodzieży działo i takowe nawet głośno pochwalali, to jednakże doprowadzeni nieraz do najwyższego stopnia niecierpliwości z przyczyny hałasów i krzyków, jakie krewka młodzież w czasie gier i zabaw wyprawiała, jak również wskutek wałęsania się chłopców tam i sam i wogóle hałaśliwego ich się zachowania, kiedy się udawali do szkółek wieczornych, uskarzali się z tego powodu przed księdzem gospodarzem, oświadczając mu stanowczo, że się wszyscy wyniosą, jeżeli owym zebraniom w domu nareszcie się nie położy końca. Z tego powodu zacny X. Moretta był zniewolonym zawiadomić księdza Bosko, by poszukał sobie, i to zaraz, innego na Oratoryum miejsca.

Z tem wszystkiem nieomieszkał mu przy tej sposobności wyrazić swego ubolewania, że do takiego kroku został przez swych lokatorów niejako zmuszonym, słowem obszedł się z księdzem Bosko bardzo grzecznie, po smutnym bowiem nad wyraz wypadku ze sekretarzem *młynów św. Marcina* (o czem była mowa w rozdziale poprzednim), szczególnie zaś z kapelanem u *św. Piotra* i jego gospodynią, ludzie, skądinąd uczciwi, którzy o tem posłyszeli, mieli dla niego i dla jego Oratoryum wielkie poszanowanie.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

MIESIĄC PODRÓŻY

MISYONARZY SALEZYAŃSKICH,
wysłanych do południowej Ameryki
w grudniu 1893 r.

Skreślił X. Stanisław Cynalewski.

(*Ciąg dalszy*).

Dano wreszcie znać do stołu. Weszliśmy do sali, gdzie były zastawione stoły z pewną wystawnością, co tem bardziej wabiło do zajęcia wyznaczonego sobie miejsca. Ale niestety, niemiłe kołysanie się statku spowodowało u wszystkich prawie taki zawrót głowy, że pomimo smacznie przyrządzonych potraw byliśmy zmuszeni przerwać obiad i udać się na pokład, by na świeżem powietrzu ocknąć z pierwszego wrażenia, jakie na nas wywarło to ciężkie i zarazem dziwne jakieś poruszanie się *Vittorii*. Ponieważ zaś morze było spokojne, zatem okręt dosyć szybko oddalał się od miasta, którego piękny widok coraz to bardziej niknął nam z oczu.

Czując nieustanny zawrot głowy, wcześniej aniżeli zwykle odmówiliśmy wieczorne mo-

dlitwy i udaliśmy się na spoczynek, by snem zwalczyć niejako tak powszechne skutki podróży morskiej, których obawialiśmy się niepomału.

4ty grudnia.

Pierwszą noc na statku przepędziliśmy niespokojnie, budząc się często, i dlatego już o 4ej godzinie z rana wyszliśmy na pokład, by orzeźwić się nieco chłodnym wietrzykiem północnym.

Chodziło teraz o odprawienie Mszy św. Żaden z naszych kapłanów z powodu osłabionego żołądka nie czuł się tyle na siłach, by bez obawy na to się odważyć, lecz ponieważ przedewszystkiem w tym pierwszym dniu naszej podróży życzyliśmy sobie wszyscy, klerycy i koadjutorzy, przystąpić do Komunii św., zatem X. Solari dał się wreszcie nakłonić i, dzięki Najwyższemu, odprawił Mszą św. bez żadnego nieprzyjemnego zajścia. Asystował mu jednak na wszelki przypadek przy ołtarzu inny jeszcze kapłan, jak tego wymagają przepisy Kościoła. Było to dla nas wielką pociechą, że pierwszy poranek na statku pierwszego dnia podróży mogliśmy rozpocząć z Bogiem.

Około godziny 10ej przed południem wiatr, dotąd tak bardzo sprzyjający naszej żegludze, zaczął naraz dąć od strony Francyi, i to coraz silniej, tak iż morze zaczęło się na dobre burzyć, bałwany coraz potężniej bić o boki statku, ich zaś stopniowy wzrost powodował coraz to silniejsze kołysanie się naszej *Vittorii*, która jednakże ani na chwilę nie myślała zwolnić dotyczasowego biegu, lecz jakoby dumna władczyni, świadoma swojej siły i przewagi, z wielką pewnością siebie to ślizgała się majestatycznie po wierzchu srożących się odmętów, to po bohatersku płatała i pruła nacierające na nią wały rozpasanego żywiołu. Im więcej się zbliżało południe, tem bardziej się wiatr wzmagał, a bałwany urastały do kilkumetrowej wysokości. Większa część podróżnych pochowała się do kajut i zaledwie w kilkunastu zatrzymaliśmy się na pokładzie niższym, przyglądając się nie bez pewnej wewnętrznej trwogi nowemu dla nas widokowi.

Około godziny 1ej dwie panie, siedzące na krzesłach, opartych o poręcze galeryi, by z pomocą chłodnego wiatru ulżyć nieco silnemu zawrotowi głowy, doznały pierwsze jednej z najzwyklejszych wprawdzie w czasie burzy, lecz pomimo to niekoniecznie miłych przygód. Jeden z silniejszych bowiem bałwanów rozbiwszy się o ścianę *Vittorii* lunął na nie tak wielką ilość wody, że oblał je od stóp do głów i zmusił do ucieczki. Podczas gdy ze świadków tej sceny jedni z przestrachem, inni zaś, odważniejsi, ze śmiechem o tej niedobrowolnej kąpieli rozmawiali, zionął nagle silniejszy jeszcze od poprzedniego bałwan, wstrząsnąwszy wprzódy całym statkiem z taką siłą, że i najodważniejsi umilkli, na pokład tak ogromną masę wody, że kilku pasażerów powalił o ziemię, resztę zaś w jednej chwili zatopił po kolana. Krzyk rozległ się po całym pokładzie: jedni, czepiając się lin, wspinali się jak mogli do góry, inni starali się dostać na poręcze, a znowu inni, co siedzieli na krzesłach, jakkolwiek unoszeniem nóg w górę zdołali ochronić je jako tako od zamoczenia, to jednakże i z nich pewna część, z powodu silnego chwiania się okrętu, nie mogła się na krzesłach utrzymać i raz po raz wpadała do wody. Ja sam w tem położeniu będąc, przeprosiwszy grzecznie jednego z siedzących obok z zadartymi w górę nogami panów, skoczyłem mu bez żadnych ceremonii na łono, trzymając się w górze żelaznego pręta, który na szczęście sterczał nademną. Kiedy już woda z pokładu odpłynęła, śmialiśmy się ze zaszłej przygody i niepotrzebnej trwogi, żartując jedni ż drugich; w każdym razie przymusowa ta kąpiel rozweseliła choć na chwilę niejedną z zachmurzonych twarzy i dostarczyła wątku do wesołej rozmowy.

O godzinie 3ej po południu morze przestało nareszcie szaleć i z radością dostrzegliśmy na zachodnim widnokręgu brzeg Hiszpanii. O godzinie 6ej wieczorem, po dwudziestoczterogodzinnej podróży stanęliśmy w pobliżu portu Barcelony; mówię „*w pobliżu*," gdyż z powodu wielkości *Vittorii* i dla chwilowego napływu wielu innych statków nie można było wpłynąć do właściwej tego miasta przystani. Zatrzymaliśmy się na otwartem morzu w odległości 30 minut od miasta.

Dzionek dzisiejszy był wogóle dniem, w którym Neptun zażądał od wszystkich prawie podróżnych godnej siebie ofiary, to też w godzinach południowych, kiedyśmy właśnie przepływali zatokę lugduńską a morze najwięcej się srożyło, wszyscy z małym tylko wyjątkiem ulegli naleganiom tego władcy morza i bez względu na miejsce, gdzie się kto znajdował, składali mu hołd, jakiego zazwyczaj żąda od tych, którzy ośmielają się wkraczać w granice jego władzy. Twarze tych hołdowników były więcej podobne do trupów, aniżeli do istot żyjących, a osłabienie fizyczne trzymało ich prawie przykutych do miejsca. Zaledwie kilkunastu z nas zdo-



Kościół Najsłodszego Serca Jezusowego na *CASTRO PRETORIO* w RZYMIE.

łało z wielkim trudem utrzymać się na pokładzie, gdzie wpływem chłodnego wiatru i wysiłkiem woli podtrzymywaliśmy, o ile się dało, swoje siły dla stawienia Neptunowi oporu, który srożąc się coraz to więcej, uderzaniem bałwanami o ściany okrętu chciał nas zmusić do schronienia się do kajut, gdzie niechybnie bylibyśmy i my, za przykładem słabszych współpodróżnych, musieli odbyć nieprzyjemną funkcyę osłabionego organizmu.

Do obiadu tego dnia zaledwie kilku się stawiło, lecz i z tych połowa, chcąc uniknąć nieprzyjemnych zajść, zmuszoną była opuścić salę, spożywszy zaledwie cokolwiek rosołu; inni, z niemiłymi skutkami swego zuchwalstwa i z próżniejszym, aniżeli był poprzednio, żołądkiem, wynieśli się stamtąd w połowie obiadu również na pokład, by na świeżem powietrzu przyjść nieco do siebie. Troje tylko z całej załogi *Vittorii* zdołało utrzymać się na nogach od początku do końca i, żartując z drugich, urągać Neptunowi, ufni, że z pomocą Bachusa *), którego opiece się poruczyli, potrafią go przezwyciężyć.

Obydwóch moich towarzyszy i mój system zaś, dążący do takiego samego celu, był system Tantala, z tą różnicą, że dobrowolny, a nie przymusowy. Na systemie tym, przynajmniej jak dotychczas, wcale dobrze wychodzimy, — lecz i zwolennicy Bachusa, o ile chwilowo zauważyć było można, na siłach nie tracą. Postanowiliśmy więc zbadać jeden i drugi system, by oparci na własnem doświadczeniu, módz także innym wskazać jakąś broń skuteczną przeciw tej nieuniknionej prawie w podróży morskiej chorobie.

Bachusy trzymali się zatem ściśle swojego przepisu, a i my Tantalowie staraliśmy się nieprzekroczyć naszego: nie jedząc nic ani nie pijąc i, co najwyżej, posilając się w ciągu dnia kilkoma sucharami.

Co do morskich stworzeń, to widzieliśmy dzisiaj zaledwie kilka delfinów, w takiej jednakże od statku odległości, że nic szczegółowego o nich na razie dać nie mogę. Chyba to tylko jeszcze nadmienię, że stado ptaków morskich od samego rana uporczywie biegło w ślad za nami, to wypoczywając od czasu do czasu na masztach *Vittorii*, to zapadając na wodę.

5^go grudnia.

W przeciwieństwie do poprzedniej, spędziliśmy dzisiejszą noc spokojnie, a to głównie dlatego, ponieważ okręt na kotwicy stał prawie nieruchomy. Spokojne morze, piękna pogoda, a zwłaszcza wspaniały widok na miasto, zajął naszą uwagę od samego rana, szczególnie po wczorajszej, tylu i tak nieprzyjemnemi zajściami celującej podróży.

O godzinie 8^ej przybyła z miasta komisya, nakładająca cło na przedmioty, któreby z okrętu do miasta przewozić chciano. Równocześnie z jej przybyciem nadpłynęły dwie łodzie, by przewieźć podróżnych, w razie gdyby który z nich życzył sobie wysiąść na ląd celem zwiedzenia Barcelony. Dużo z pasażerów korzystało z tej sposobności, z nas jednakże żaden nie pojechał z powodu zbyt wygórowanej taryfy przewozu, na którą nasz kasyer zgodzić się nie chciał. Chcąc niechcąc pozostaliśmy zatem na pokładzie rozmawiając o Barcelonie, Hiszpanii i Hiszpanach z tymi z naszych towarzyszy podróży, którzy już po razy kilka mieli sposobność jedną i drugą zwiedzić i bliżej się z niemi zapoznać.

Barcelona, osada założona według tradycyi około r. 235 od wielkiego Kartagińczyka, Hamilkara Barkas, w czasie gdy dla ojczyzny swojej usiłował był podbić Hiszpanią, aby w ten sposób powetować stratę trzech większych wysp (Sycylii, Sardynii i Korsyki) w morzu Śródziemnem, i nazwana od nazwiska jego rodzinnego Barcino, dzięki wybornej przystani stała się wnet jednem z najznaczniejszych miast tego kraju. Zdobyta r. 206 w czasie 2^ej wojny punickiej przez Rzymian, otrzymała od nich nazwę Faventia i była jedną z najważniejszych ich kolonii hiszpańskich, miano to wszakże nie przyjęło się i osada wróciła do dawnej nazwy *Barcino*. Odrodzona w zdrojach chrztu św. była Barcelona ojczystem miastem św. Eulalii, dziś jeszcze czczonej jako jej głównej patronki, św. Matrony, św. Oldegariusa, św. Wiktora, śś. Ociusa i Luciusa, których zwłoki spoczywają we wspaniałym tumie, poświęconemu na cześć św. Krzyża. Kościoły jej posiadają dalej relikwie św. Rajmunda z Peñafort i św. Pacyana, biskupa barcelońskiego, jednego ze świeczników Kościoła hiszpańskiego.

---

*) Neptun w mytologii starożytnych był władcą morza, Bachus zaś był bożkiem wina. Tantalus, król frygijski, według takiejże samej mytologii, skazany był na wieczny głód i pragnienie.

Bachusami nazywa nasz misyonarz tych ze swoich towarzyszy podróży, którzy postanowili chorobę morską przetrzymać, jedząc jak najmniej, a zato krzepiąc się silnymi napojami; Tantalami zaś, do których on sam należał, takich, którzy starali się ją przezwyciężyć, zachowując jak najściślejszą dyetę.

Położona pomiędzy ujściami rzeczek *Llobregat* i *Besos*, od strony morza przedstawia się oku w kształcie wklęsłego półkola. Od zachodu broni jej twierdza Mont-Juan, od wschodu zaś silna cytadela, mogąca pomieścić 8,000 załogi. Przystań zasłonięta jest od strony morza silnym wałem kamiennym, na którego jednym krańcu wznosi się wcale potężna latarnia morska, lecz jak już wyżej nadmieniłem, tylko mniejsze statki mogą do niej wpływać, wielkie zaś, jak np. nasza *Vittoria*, muszą się zatrzymywać na otwartem morzu. Przystani broni fort św. Karola, połączony za pomocą ganku podziemnego z większą cytadelą. W pobliżu głównego miasta leży Barcelonetta, wcale przyzwoita mieścina, mogąca się uważać za jego przedmieście.

Z pokładu naszego statku zwracał na siebie szczególnie uwagę wspaniały, sterczący po nad port i miasto pomnik Krzysztofa Kolumba, wystawiony r. 1892 na pamiątkę pięćsetletniej rocznicy odkrycia Ameryki. Pomnik ten jest odlany z bronzu; na wysmukłej, 40 metrów wysokiej kolumnie wznosi się posąg Kolumba w majestatycznej, pełnej prawdy i życia pozie, zwrócony ku morzu, ręką wskazując w stronę Ameryki. Podstawę kolumny tworzy ośmioboczny cokół, zdobny w posągi i wypukłorzeźby.

Około południa szesnaście osób z naszego grona misyonarskiego oddzieliło się od nas i przesiadłszy się na statek angielski odpłynęli do Mexyku.

Tak zbliżyła się godzina 1[a] po południu. Nasza *Vittoria* przeraźliwym świstem dała znak, że bliską już jest chwila podniesienia kotwicy. Na ten znak cały szereg łódek, napełnionych podróżnymi, nadciągnął z miasta ku nam. Wszyscy zgromadziliśmy się na pokładzie, patrząc pilnie w stronę miasta i wytężając wzrok, by spostrzedz łódkę, która miała nam przywieźć X. Biskupa Cagliero wraz z kilkoma naszymi braćmi zakonnymi, którzy w popisowym wieku będąc, dla uniknięcia niepotrzebnego spotkania z włoską policyą przy wsiadaniu na statek w Genui, udali się byli lądem przez Francyą do Hiszpanii, gdzie jako obcokrajowcy nie mieli żadnych przy odjeździe trudności. Nareszcie ich dostrzegliśmy. Hucznymi oklaskami (na sposób południowców) przyjęliśmy całe grono współtowarzyszy z X. Biskupem na czele, któremu aż do samego statku towarzyszyło kilku księży z naszego kolegium w Barcelonie.

Tymczasem zbliżyła się już godzina 2[a]. Podniesiono pomost, który dotąd służył za łącznik pomiędzy okrętem a otaczającemi go łodziami, maszyna wydała powtórny, chrapliwy świst, dźwignięto kotwicę i ciężko się kołysząc, jak gdyby niechętnie opuszczała tak zaciszne miejsce, ruszyła wreszcie *Vittoria* na głębinę. Po upływie kilkunastu minut przybrała zwykły swój bieg: podróż morska ze wszystkiemi swemi przy - i nieprzyjemnościami na nowo się rozpoczęła.

W miarę oddalania się od brzegu, zaczęło miasto coraz więcej ustępować na drugi plan, a natomiast poczęły coraz jaśniej i wspanialej występować na widnokrąg pagórki, służące mu za tło, a zasiane wioskami i miasteczkami, cisnącemi się jedne za drugiemi, by złożyć hołd potężnej katalońskiej metropoli. Pieśnią *Ave maris Stella* powitaliśmy zębate szczyty Monserrato, strzelające ku niebu w tyle za barcelońskimi pagórkami, kędy Najświętsza Marya Panna od wieków odbiera cześć głęboką od pobożnego hiszpańskiego ludu w jednej z najsłynniejszych swych świątyń.

Wodząc tak rozmarzonem okiem w około nie mogliśmy się po prostu oderwać od przyglądania się uroczej, górzystej okolicy, która się w pobliżu Barcelony roztacza. Liczne zamki i warownie, najeżone ogromnemi, ku morzu zwróconemi działami, uzupełniały ten wspaniały krajobraz, jaki się nam teraz z pokładu *Vittorii* przedstawiał. Szczególnie armaty, zwane niegdyś *ultima ratio regum* (w naszych, konstytucyjnych czasach, czy i jaka właściwie jest *ultima ratio* królów?) ściągały naszą na siebie uwagę, gdyż wychylając dumnie z ciemnych czeluści murów szerokie swe paszcze, zdawały się spoglądać na nas wyzywająco i grozić niechybną zgubą zuchwalcowi, któryby w jakikolwiek sposób ściągnął na siebie ich niełaskę.

W dalszym ciągu podróży napotkaliśmy dużo, mniejszych i większych, łodzi żaglowych o 4, 8[iu] i 10[ciu] wiosłach, rozrzuconych jak oko sięgało po powierzchni morza. To skrzętni Katalończycy dobywali z głębin morza swój chleb codzienny w postaci ułowionych ryb morskich. Prawie wszyscy nosili tradycyjną *gorra*, czyli czapeczkę czerwoną. Wtenczas właśnie morze zaczęło się niepokoić i mimowolny strach nas ogarniał, widząc, jak owe barki i łodzie rybackie to wzbijały się w górę, to zapadały w głąb, to znowu przechylały się bokiem do wody, tak iż zdawało się, że lada chwilę pogrążą się we falach razem z rybitwami. Lecz niedługo trwało a i nasz okręt, pomimo niezmiernego ciężaru, jaki niósł, a który znakomicie się zazwyczaj przyczynia do utrzymania równo-

wagi, zaczął coraz silniej podlegać podobnemu, co owe małe barki, kołysaniu się.

Z tem wszystkiem, pomimo szalonego kiwania się *Vittorii*, zwłaszcza że potroszę z tem już oswojeni jeszcze od wczoraj, wyszliśmy wszyscy na pokład, by odetchnąć świeżem powietrzem. Zawrót głowy owładnął obecnie i najsilniejszymi tak, że niepodobieństwem było utrzymać się na nogach: wszystko tańczyło w około. Jakie skutki były owego stanu, łatwo się domyślić: żołądek nietylko odmówił posłuszeństwa w godzinie obiadowej, którą regularnie była 6ta po południu, ale nie zatrzymał nawet tego, co z większym lub mniejszym apetytem było się spożyło w czasie, gdy okręt stał spokojnie na kotwicy przed Barceloną. Trzech jednakże zwolenników Bachusa i tyluż Tantalów, oprócz zwykłego zawrotu głowy, choć co prawda silnego, tak że prawie o Bożym świecie nie wiedzieli, niepodlegli temu, co wszyscy współpodróżni, losowi.

Późną już godziną, zwolna, wiedzeni więcej instynktem, niż pełną świadomością umysłu, zeszliśmy wszyscy do kajut, by się udać na spoczynek, lecz łóżko zdawało się być przepełnione torturami: — niepodobnem było zasnąć.

6ty grudnia.

Nad ranem morze się uspokoiło; niebo było zupełnie pogodne, wyszliśmy zatem na pokład dosyć wcześnie, by podziwiać wspaniały widok wschodzącego słońca, które zdawało się z morskiego powstawać posłania, odbijając światło swych ognistych promieni od powierzchi morza, nimi zaś różowo zabarwiając znaczną przestrzeń na firmamencie. Po wczorajszym poście, jakiemu każdy chcąc niechcąc poddać się musiał, apetyt był dziś doskonale zaostrzonym, to też wszystkie miejsca przy stole były zajęte.

Około południa tego dnia zastanowiła mnie nieobecność Bachusów na pokładzie; na odnośne zapytanie dowiedziałem się, że ciepło dnia dzisiejszego niekorzystnie na nich oddziałało i że patron ich, Bachus, haniebnie ich opuścił a Neptun odniósł nad nimi zupełne zwycięstwo. Plac boju został więc przy Tantalach: na nas bowiem Neptun nic dotąd nie skorzystał. Górą nasi! Nie mogliśmy ukryć wewnętrznego zadowolenia, jakie wieść ta na nas sprawiła. Nierównie lepszym od *bachusowego* okazał się więc nasz system, polegający na unikaniu obiadów, zasilaniu się przez cały dzień sucharami i ciągłem przebywaniu na świeżem powietrzu, schodząc do kajut tylko wtenczas, gdy konieczna tego wymagała potrzeba. Tymi trzema zwycięzcami, których system najskuteczniejszym się okazał — niech o tem wszechświat się dowie, a potomność imiona i nazwiska głęboko wyryje w granicie — byliśmy: kleryk SCARONE, Jakób SIKORA i ja.

Sikora szczególnie zachował właściwą sobie czerstwą cerę twarzy pomimo wszelkich burz i nawałnic, przedwczorajszych i wczorajszych, niezmienną, tak że samemu kapitanowi okrętu to podpadło. Przechodząc dzisiaj koło nas zapytał go więc, skąd to pochodzi, że trzyma się tak krzepko i że nie znać na nim wcale śladów morskiej choroby. Na to nasz poczciwy brat Jakób najspokojniej w świecie odpowiedział: „*perchè sono un Polacco*“ *). Oczywiście wzbudził wesołość u wszystkich obecnych, lecz swoją krótką a ciętą odpowiedzią zwrócił na siebie, a pośrednio także na mnie, powszechną uwagę, zwłaszcza że słowa jego obiegły w lot cały statek. Skutek zaś wszystkiego był ten, że odtąd zainteresowano się Sikorą i mną na całym pokładzie głównie z tego względu, że byliśmy Polakami. Pokazało się to zwłaszcza w rozmowach, jakie odtąd prowadziliśmy z towarzyszami podróży: nie było końca wypytywań o naszym kraju i stosunkach politycznych i religijnych, w nim panujących, o Syberyi i t. d.

Szczególnie tę ostatnią wspominają często ci południowcy (co zresztą już i we Włoszech byliśmy zauważyli) i istne o niej prawią duby smalone, trzęsąc się na samo jej wspomnienie. Przyzwyczajeni do gorącego (a przynajmniej *względnie* gorącego) klimatu, wyobrażają sobie te dobre dusze, że przebywanie w klimacie, w którym zimno dochodzi do 40° i więcej Réaumura, musi być straszną męczarnią.

Dziwna rzecz — a potwierdzić to może każdy, kto dłuższy czas przebywał w katolickich krajach zachodniej i południowej Europy — że cała wiadomość dziejów Polski „*przeciętnego*“ (jak mówią w Galicyi) Francuza, Włocha lub Hiszpana, streszcza się w tem, że 1) król polski, Jan Sobieski, oswobodził od Turków Wiedeń i chrześcijaństwo, i 2) że Polacy są gnębieni i prześladowani za Wiarę i że Moskale setkami ich pędzą na Sybir, gdzie straszne panuje zimno. O Bolesławie Chrobrym, o Batorym, o innych naszych królach i wodzach, jak również czynach wojennych, nie wiedzą nic. Czyli innemi słowy: to co

*) ponieważ jestem Polakiem.

Polska dokonała *bezpośrednio* na własną korzyść, dla ziemskich, doczesnych celów, dla siebie, to minęło prawie niepostrzeżenie w dziejach świata, uszło uwagi obcych narodów; to zaś, co spełniła i pełni w służbie Wiary i na dobro chrześcijaństwa, zostało zapisane złotemi głoskami u Pana Boga i u ludzi. Stąd i tylko stąd płynie i zawsze płynąć będzie prawdziwa jej chwała i cześć u obcych. Słusznie więc wołał nasz Skarga XIX wieku, O. Hieronim Kaysiewicz: *o Polsko! ty siedź podle krzyża Chrystusowego, a on będzie twojem zbawieniem!* Krzyż Chrystusowy jest jedynem zbawieniem dla naszego kraju, jak służba dlań jedynie prawdziwym i wiecznie trwałym tytułem jej chluby, jedynie godną szczytnego posłannictwa narodu naszego w dziejach świata.

W ciągu tego dnia minęliśmy w odległości 500 metrów okręt z podróżnymi, wracającymi z Ameryki południowej; pozdrawiano się nawzajem, a okrzyki z życzeniami szczęśliwej podróży napełniły na chwilę przestrzeń pomiędzy obydwoma mijającymi się statkami. Więcej istot żyjących tego dnia już nie napotkaliśmy. Stado tylko ptaków morskich, podobnych do kaczek, ale z daleko większemi skrzydłami, od samego świtu ciągło w ślad za nami, bawiąc nas pożeraniem kawałków chleba, któreśmy im rzucali.

Nie znajdując przedmiotów, na którychby się zatrzymywać mogło w pobliżu, szukało ich i znajdowało oko nasze w oddali. Większą część dnia płynęliśmy wzdłuż brzegów Hiszpanii: jej *sierry* (góry o szczytach zębatych), zatoki, nadmorskie miasta, mieściny i wioski, rozsiane malowniczo na wzgórzach, mijały przed nami, ukazując kolejno to ostro zakończone, iglaste szczyty gór, to szare, stromo ku morzu opadające skały, to znowu białe domki; tu i owdzie na wysokich, nadbrzeżnych szczytach, wznosiły się stare wieżyce, skąd przed laty za pomocą palących się stosów ostrzegano o zbliżających się Maurów w korsarskich statkach.

Tyle od strony zachodniej.

Na wschodniej natomiast połaci widnokręgu od samego rana przez dłuższy czas widzieć można było tylko raz poraz długie smugi dymu, ciągnące się za jakim przepływającym parowcem, aż naraz zdala ukazały się sine zarysy wysp Balearskich. Patrząc na nie z pokładu udzielaliśmy sobie nawzajem (encyklopedyi, Bädekera i t. p. „wygodnych" podręczników nikt z naszego grona nie posiadał), co każdy umiał o nich opowiedzieć. Pokazało się, że cała *gesammelte Weisheit* P. T. pasażerów *Vittorii*, wygrzebana ze wszystkich zakątków ich mózgownic (jeżeli te istotnie są siedzibą myśli, wiedzy i pamięci), nie potrafiła podać więcej o Balearach szczegółów nad te, któreśmy byli swego czasu słyszeli w szkole naszej przygotowawczej we Valsalice.

Balearskiemi więc zowią się te wyspy (jest ich razem pięć: Majorca, Menorca, Iviza, Formentera i Cabrera) od słowa greckiego βάλλω = rzucać. Nazwali je tak Grecy z powodu wielkiej zręczności, jaką się zawsze odznaczali wyspiarze, w rzucaniu z procy. Kartagińczycy, a później Rzymianie, chętnie ich zaciągali do swoich wojsk. Idąc do bitwy zasłaniali się tylko małą tarczą, w prawicy zaś dzierzyli to rohatynę, to jeden z trzech rzemieni (dłuższych lub krótszych), którymi się opasywali, posługując się nimi w miarę większej lub mniejszej odległości przedmiotów, które kamieniami chcieli ugodzić. Ażeby dzieci swe od pierwszej młodości zaprawić do celnego rzucania z procy (tak opowiadali starożytni), umieszczali rodzice pokarm, dla nich przeznaczony, na wysokiej żerdzi lub drzewie i kazali im go sobie kamieniami zrzucać na ziemię.

Menorca posiada jednę z najlepszych przystani na całem morzu Śródziemnem: Port Mahon. Pewien z naszych współpasażerów, rodem z Genui, przytoczył o nim słowa słynnego marynarza z XVI w., Genueńczyka Andrzeja Doria, przez długie lata admirała w służbie Karola V:

Junio, Julio, Agosto y puerto Mahon
los mejores puertos del Mediterraneo son *).

Formentera (od Greków zwana Ophiusa, od Rzymian Colubraria, z powodu wielkiej ilości wężów, których tam napotykano), zawdzięcza dzisiejszą swą nazwę urodzajności gruntu i względnej obfitości zboża (jakoby Frumentaria), jakie wydaje.

Ludność wszystkich tych wysp mówi dyalektem (mięszaniną greki, łaciny, języka arabskiego i dwóch głównych hiszpańskich narzeczy: kastylijskiego i katalońskiego).

Straciwszy z oczu Baleary, skierowaliśmy wzrok na nowo ku brzegom Hiszpanii. Płynęliśmy wzdłuż wybrzeża Walencyi, która to prowincya, zwłaszcza w tej części, co bezpośrednio przylega do wybrzeża a zroszoną jest *Guadalaviarem*, *Jucarem* i pomniejszemi rzeczkami, jest jedną z najżyzniejszych, najlepiej uprawionych, najwydatniej-

---

*) To znaczy:
czerwiec, lipiec, sierpień i port Mahon
najlepszemi przystaniami morza Śródziemnego są.

szych z całej Hiszpanii i słusznie się zowie jej ogrodem.

Gandia, której księciem był św. Franciszek Borgiasz, zanim wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, przedstawiała się nam jako mała wprawdzie, ale zato pięknie położona mieścina. Mogliśmy bardzo dobrze rozpoznać wspaniały zamek książęcy i mały port. Któryś z podróżnych opowiadał przy tej sposobności, że najsmaczniejsze melony w całej Hiszpanii udają się właśnie w okolicy tegoż miasteczka; udaje się tam również wyborna trzcina cukrowa.

Alicante, mimo którego teraz płynęliśmy, przedstawia się we formie półksiężyca. Ma wcale znaczny port i prowadzi nader ożywiony handel z krajami północnej zwłaszcza Europy. Dwa stawy, leżące tuż przy brzegu morskim, dostarczają mu dość znacznych zapasów soli, otrzymywanej przez wyparowanie nadzwyczaj słonej ich wody. Równina, ciągnąca się w pobliżu miasta, a zwana *Huerta* (ogród), skrapiana należycie wodą, sprowadzaną za pomocą sztucznych kanałów, pełna jest winnic, dostarczających wybornego wina.

W pobliżu Alicante dostrzegliśmy wysepkę Plana, skalistą i jałową na swej powierzchni, słynną jednakże z marmurołomów.

Miasteczko Matha przywiodło nam na myśl św. Jana Bożego, założyciela Trynitarzy, znanych także w naszej Polsce, zakonu, mającego na celu wykupywanie jeńców z niewoli muzułmańskiej. Miłość chrześcijańska, istnie w heroicznym stopniu, jego synów dochodziła aż do takiego zaparcia się siebie, że gdy nie mogli pieniędzmi, wykupywali chrześcijan, jęczących w twardej u Maurów niewoli tem, że sami się oddawali, nieraz na całe życie, w srogie muzułmańskie jarzmo.

Cartagena, starożytna *Carthago nova*, założona przez Hasdrubala i przez dłuższy czas stolica kartagińskich w Hiszpanii posiadłości, tak często wspominana w Liwiuszu z czasów drugiej wojny punickiej, jest dziś jeszcze najlepszym, najobszerniejszym i najbezpieczniejszym portem, jaki Hiszpania posiada na morzu Środziemnem.

Po niej przyszła kolej na Malagę, słynną z uprawy wina, „*ognistego, jak w płyn zamienione promienie słoneczne*,“ a wreszcie, późną już nocą, wpłynęliśmy do portu gibraltarskiego.

Pogoda dopisała nam dzisiaj aż do samego wieczora i jak rano z podziwem witaliśmy wschodzące słońce, tak z niemniejszym zachwytem przypatrywaliśmy się zachodzącemu, z tą jednak różnicą, że zbyt jaskrawe jego promienie, łamiące się w drobnych obłoczkach na ciemnobłękitnem niebie, zapowiadały nam (tak przynajmniej twierdzili doświadczeni marynarze), nie bardzo pomyślną na jutro podróż.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SIOSTRA MARYA MAZARELLO

PIERWSZA PRZEŁOŻONA

Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki

* r. 1837 † 1881.

Oprócz **Związku Pomocników salezyańskich**, wspierających zakłady X. Bosko nietylko materyalnym datkiem, ale i modlitwą i czynnem w rozmaitych kierunkach współpracowaniem, istnieje inne jeszcze Stowarzyszenie, również przez niego założone i w swoim zakresie do tegoż samego celu, co i męskie Zgromadzenie salezyańskie dążące, a mianowicie **Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki**, którego zadaniem jest: wychowywanie ubogich i opuszczonych dziewcząt, oraz opiekowanie się ochronkami i kaplicami świątecznemi, przeznaczonemi dla młodzieży żeńskiej, jak znowu tamtego celem jest wychowywanie i kształcenie ubogiej młodzieży męskiej. Obadwa te Zgromadzenia, mające wspólnego Ojca i Założyciela, są jakoby dwoma oddzielnemi gałęziami jednego drzewa, kształcącego młode, ubogie pokolenie na ludzi uczciwych, dobrych chrześcijan i pożytecznych członków społeczeństwa.

Do założenia **Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki** sama Opatrzność dostarczyła księdzu Bosko środków. Pewna młoda dziewczyna stała się jego kamieniem węgielnym.

Była to prosta wieśniaczka, imieniem Marya MAZARELLO. Urodziła się w dolinie Mornesy r. 1837. Jej rodzice, a szczególnie jej ojciec, człowiek cnotliwy, zachował ją od wszelkich złych wpływów, chociaż miał zwyczaj prowadzania jej ze sobą na targi, gdzie mu wielką była pomocą swoją roztropnością i bystrością umysłu.

Było to dziewczę w wieku lat piętnastu, czy szesnastu, roztropne, odważne i dzielne, a pomimo to czyste i niewinne, w całem tego słowa znaczeniu.

Ojciec jej wcześnie nabawił się choroby, która uczyniła go niezdolnym do pracy; ona więc zastępowała go zimą i latem, w domu i w polu, pracując sama z taką gorliwością, że ojciec musiał ją wstrzymywać. — „*Jeżeli tak dalej pracować będziesz, nigdzie nie dostanę robotników, bo nikt nie zechce iść z tobą w zawody, bo nie będzie mógł ci podołać. Bierz się do rzeczy spokojniej i powolniej.*“

Marya przyrzekała zastosować się do woli ojca, ale wnet uniesiona żywością swego charakteru, pracowała po dawnemu.

Nie miała jeszcze lat siedmnastu, gdy proboszcz jej, ks. Pestorino, założył małe zgromadzenie parafialne, którego członków nazwał *Córkami P. Maryi Niepokalanie Poczętej*. Gdy szło o wybranie przełożonej, niektóre z towarzyszek Maryi Mazarello przedstawiły ją na kandydatkę, inne jednak, i to w przeważnej liczbie, zwróciły uwagę na jej młody wiek. Wybrano zatem kogo innego, a Marya poddała się pokornie przełożonej, jako posłanniczce Bożej. Nowym obowiązkom była bardzo wierną, pracując jednocześnie w domu. Była zawsze tak pracowitą, że żadna chwila dnia nie upływała jej bezczynnie. Gdy nadszedł Wielki tydzień, poświęcała kilka godzin, rano i popołudniu, nabożeństwu i medytacyi, a nagradzając czas stracony, nocną porą pracowała. Unikała wszelkiej próżności, zbytku w ubraniu, nawet w dni świąteczne [1]). Całą jej ozdobą była większa czystość i ochędóstwo, a przytem wesołość i uprzejmość.

Jedna z jej ciotek zachorowała na gorączkę tyfoidalną, a że była pozbawioną wszelkiej pomocy, Marya pielęgnowała ją przez kilka dni i nocy, aż w końcu sama się zaraziła i zachorowała śmiertelnie. Podczas tej choroby miała myśl tak wzniesioną ku niebu, takich doznawała radości i wesela w duszy, iż zdawała się mieć naturę Serafina.

Przychodzono ją odwiedzać: jedni z powodu rozgłosu jej cnót, inni przez prostą ciekawość. Jeden z jej sąsiadów, poruszony jej widokiem a zwłaszcza serdecznem jej napomnieniem, powrócił do spełniania praktyk religijnych, które oddawna był porzucił.

Odzyskała w końcu zdrowie, ale nie odzyskała już sił, które miała przed chorobą. Nie mogła więcej pracować w polu, za poradą zatem krewnych i swego przewodnika duchownego ks. Pestorino, zajęła się szyciem, w którem bardzo była wprawną i zręczną. Całe dnie spędzała na robocie u sąsiadów, a wieczorem dopiero wracała do ojcowskiej chaty. Powzięła ona myśl wynajęcia dwóch izdebek w bliskości parafialnego kościoła; tam to w wolnych chwilach zgromadzała młode dziewczęta z wioski, i razem z niemi odbywała pobożne czytania, lub też Odwiedziny i Adoracyę Przenajświętszego Sakramentu. Często widywano ją w otoczeniu towarzyszek, klęczącą przed Najśw. Sakramentem. Dla nagrodzenia zaś czasu, poświęconego rano na modlitwę, pracowała zwykle późno w nocy.



Siostra **MARYA MAZARELLO**.

Jako *Córka P. Maryi Niepokalanie Poczętej* spełniała wiernie wszystkie przyjęte obowiązki. Chciała jednak uczynić więcej nadto. Urządziła małe oratoryum, i pracownię, w której uczyła szyć małe dziewczynki z wioski, wykładając im jednocześnie pierwsze początki religii.

Pan Bóg miał jej wkrótce dać szersze pole do pracy i przysporzyć jej żniwa.

Jej kierownik, ks. Pestorino, usłyszawszy o ks. Bosko i poznawszy Zgromadzenie salezyańskie, powziął myśl przystąpienia doń i poświęcenia w ten sposób Bogu i zbawieniu bliźnich wszystkich swoich prac, zasobów, a nawet życia swego całego. Udał się zatem do ks. Bosko, i wstąpił do Zgromadzenia, stając się jednym z najgorliwszych i najczynniejszych jego członków.

[1]) Dano jej raz na wielkie święto lakierowane buciki, jakie wówczas były właśnie w modzie. Otóż przed obuciem ich zniszczyła blas[illegible]ru.

Zamiarem jego było założenie w swojej okolicy, podług rad i wskazówek ks. Bosko, szkółki dla małych chłopców. Ale Opatrzność pozwoliła, że nieprzezwyciężone przeszkody stanęły temu na zawadzie, — a ks. Bosko wolał założyć zakład wychowawczy dla dziewcząt w dyecezyi Acqui.

Maryę Mazarello zamianował Przełożoną tego zakładu.

Ale do tego nowego położenia nie wystarczała już reguła *Córek P. Maryi Niepokalanie Poczętej* z Mornese, zresztą małe to Zgromadzenie nauczające przyjęło za kierownika duchownego ks. Bosko, który ze swej strony uprosił ks. Pestorino do pomocy. Stało się to za współudziałem i radą X. Biskupa z Acqui, do niego bowiem należała parafia Mornese.

Była to kongregacya dla dziewcząt, podobna do *kaplic świątecznych* salezyańskich dla chłopców i młodzieży, będących już w pełnym rozwoju od dwudziestu pięciu lat.

Ks. Bosko te nowe oblubienice Pana umieścił pod opieką *Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki.*

Marya Mazarello była pierwszą Córką tego nowego Zgromadzenia.

Dnia 5 sierpnia 1872 roku, jako w dniu poświęconym Najśw. Maryi Pannie Śnieżnej, Marya i jej towarzyszki otrzymały habit zakonny z rąk X. Biskupa z Acqui i złożyły uroczyste śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa.

Niewypowiedziana radość przepełniła serce Maryi i młodych nowicyuszek, gdy zostały uwieńczone jako oblubienice Pana. Marya wtedy tylko przerywała swoje gorące modły do Pana Boga, gdy swoje dobre siostry chciała pobudzić i podnieść w miłości Chrystusowej.

Młoda przełożona, w tym nowym sposobie życia, rozwinęła energię, stałość i odwagę, niczem nie zwyciężoną *Córki P. Maryi Wspomożycielki* były bardzo ubogie; częstokroć w chwili zbliżającego się obiadu nie miały przy czem, ani też z czego ugotować zupy i *polenty* [1]). Wtedy Marya udawała się do sąsiedniego lasu, gdzie za pozwoleniem właściciela zbierała suche gałęzie, a złożywszy je w wiązkę, przynosiła na plecach do domu.

Poczciwi sąsiedzi udzielali jej trochę jarzyn i kukurydzowej mąki. O zwykłej godzinie siadano do stołu; pożywienie było więcej niż proste. Naczyń, nakrycia, półmisków, wszystkiego brakowało, ale nie brakowało apetytu i dobrej, miłej rozmowy, którą Marya umiała ożywić swoją słodką wesołością. Ta stawała się najlepszą przyprawą nędznej strawy, którą podawała swoim towarzyszkom. A jednak nie było w tem gronie ani skarg, ani szemrania; wszystkie niedostatki znosiły szlachetne te serca z radością, jako najwyższe dobrodziejstwa Boże.

Budowa nowego ich domu nie była skończoną a w Maryi odżyła moc i energia lat pierwszej młodości; woziła więc piasek, podawała kamienie, aby ułatwić i posunąć pracę murarzy. Jej zapał ogarniał jej towarzyszki: wszystkie szły za jej przykładem.

Powróciwszy do domu, zlana potem, ani pomyślała o sobie, a jednak wszystkim towarzyszkom kazała zmieniać bieliznę i podawała im jakiś ciepły napój. Dzięki tej przezorności przez cały czas próby, nie było między niemi żadnych chorób i słabości.

Jakże tu nie uznać, że ta niezwykła siła i moc ożywcza, krążąca w tych młodych duszach, pochodziła jedynie z Bożego źródła? Jak wytłómaczyć te cuda zaparcia, poświęcenia się i tego ducha ofiary, jeżeli nie nadnaturalną Bożą pomocą?

O zaiste, nasze czasy częściej, niżby się zdawać mogło, przedstawiają widok cnót i zaparcia się. I gdzieindziej, niż w Piemoncie, znaleźć można takie Marye Mazarello; ale trzeba umieć odkryć ukrywające się cnoty i je uwydatnić, aby dowieść, że katolicyzm bynajmniej nie chyli się do upadku i że wiek XIX, jak to dobrze powiedział katolicki pisarz Champagny, „*posiada swoje cuda i swoich męczenników, tak jak je posiadały pierwsze wieki Kościoła.*“

Jednakże Marya Mazarello potrzebowała być wtajemniczoną w życie klasztorne przez doświadczone zakonnice. Ks. Bosko uprosił więc Przełożoną klasztoru św. Anny w Turynie, aby posłała którą ze swoich Siostr do powstającego domu w Mornese, dla ukształcenia nowych zakonnic. Przełożona wybrała dwie siostry ze swego Zgromadzenia, które odznaczały się pobożnością, rozumem i doświadczeniem, i powierzyła im tę ważną misyę. Wszystkie nowe zakonnice z korzyścią przyjmowały nauki, dawane im przez owe biegłe mistrzynie życia zakonnego. Ale żadna nie mogła dorównać Maryi Mazarello; ona też ostatecznie naznaczoną została na Przełożoną główną.

Klasztor *P. Maryi Wspomożycielki* otrzymał swoje ostateczne urządzenie d. 14 czerwca 1874 r. przez zamianowanie Siostry *Koadjutorki*, S. *Asystentki*, S. *Ekonomki*.

---

[1]) *Polenta*, jest to potrawa włoska, w rodzaju naszej prażuchy

Na audyencyi, jaką ks. B o s k o miał u Piusa IX, błagał on Jego Świątobliwość, aby mu udzielił rady co do tego nowego Zgromadzenia. Ojciec św. obiecał się nad tem zastanowić, a po kilku dniach wyrzekł, iż to nowe Zgromadzenie wydaje mu się być założonem dla większej chwały Bożej i dla zbawienia dusz, i że **Siostry P. Maryi Wspomożycielki** będą mogły oddawać równe posługi w wychowywaniu dziewcząt, jakie Salezyanie oddają, wychowując chłopców i młodzieńców.

„*Co do wpływu, jaki masz mieć na nie,*“ dodał Ojciec św., „*potrzeba, aby one były w zupełnej od ciebie zależności, tak jak Siostry św. Wincentego á Paulo zostają w zawisłości od Ojców L a z a r y s t ó w*.“

Podług tych zasad, ułożone zostały Ustawy nowo powstającego Zgromadzenia.

Przełożona M. Marya M a z a r e l l o zadziwiająco wywiązywała się ze swoich obowiązków. Przeniknięta sama duchem, ożywiającym ks. B o s k o, umiała tegoż ducha tchnąć w serca wszystkich Sióstr, jak prawdziwa Salezyanka [1]). Pierwszy ten dom *Córek P. Maryi Wspomożycielki* został ukończony zaledwie w 1873 roku, a zupełną organizacyę otrzymał w początkach r. 1874. W marcu zaś roku 1883 nowe Zgromadzenie liczyło już trzydzieści domów, w stanie kwitnącym będących, a to we W ł o s z e c h, na S y c y l i i, we F r a n c y i i w A m e r y c e.

W M o r n e s e Marya M a z a r e l l o zgromadziła była koło siebie zaledwie trzynaście zakonnic; obecnie w dwóch częściach świata jest ich blizko czterysta. A pomiędzy niemi panuje zawsze tenże sam duch gorącej pobożności, taż sama ścisłość w wypełnianiu reguły. Powołania objawiają się coraz liczniejsze: podobnie jak od XX. Salezyanów, ze wszystkich stron żądają od *Sióstr P. Maryi Wspomożycielki*, aby nowe otwierały domy.

---

[1]) Matka Marya M a z a r e l l o umarła w sławie świętości roku 1881.

Z MISYI

B a h i a B l a n c a (rzeczpospolita argentyńska, Ameryka południowa).

Kochani Bracia,

Oczekujecie niezawodnie odemnie opisu miejscowości, do której za łaską Bożą po dość długiej podróży szczęśliwie przybyłem i gdzie prawdopodobnie przez dłuższy czas pozostanę, zanim mi wola Przełożonych inne jakie miejsce i pole do działania przeznaczy; życzycie sobie także dowiedzieć się czegoś o ludności tutajszej, jej życiu, zwyczajach, usposobieniu dla nas, o plemionach tubylczych **Indyan**, o owych sławnych **Patagończykach**, o których olbrzymim wzroście tyle razy Wam już opowiadano, o naszych zajęciach, wycieczkach misyjnych i t. d.

Uczynię to z największą chęcią i słowa danego przed wyjazdem na misye dotrzymam; nie dziwcie się jednakże, jeżeli zapiski moje będą dość luźne i nie bardzo ściśle wiązały się pomiędzy sobą: piszę bowiem tylko dorywczo, jakoby ukradkiem, o ile mi na to pozwala nawał najróżniejszych zajęć i obowiązków, jakim od rana do późnej nocy się oddaję.

Zawód misyonarski, jak widzicie, to nie żarty, i nie składa się bynajmniej (jak to sobie może niejeden z Was wyobraża) z samych tylko mniej lub więcej przyjemnych a często odbywanych przejażdżek konno po rozległych **Pampas**, oraz wycieczek do koczujących szczepów indyjskich, — wycieczek i przejażdżek nieraz istotnie niebezpiecznych i pełnych rzeczywistych przygód.

Co do mnie, to tutaj dopiero poznałem, że misyonarzem w pełnem tego słowa znaczeniu można być i prawdziwie misyonarskie życie prowadzić, nie wychylając się ani razu poza obręb podobnego jak **Bahia Blanca** miasta, nie puszczając się wcale w step, nie widziawszy nawet ani jednego Indyanina i mając li tylko do czynienia z ludnością, mieniącą się chrześcijańską i „cywilizowaną.“

Nie wątpię, że przyznacie mi słuszność, przeczytawszy do końca moje zapiski.

A teraz do rzeczy.

Wstępując od razu *in medias res* zaczynam od opisu teraźniejszej mojej siedziby.

Szczycą się powszechnie miasta swymi założycielami, a prawie każde z nich stara się wyprowadzić swój początek od jakiejś mniej lub więcej sławnej, historycznej, lub w braku tejże, mitycznej osobistości: tak **Ateny** od C e k r o p a, **Rzym** od R o m u l u s a, **Gniezno** od L e c h a,

Kraków od Krakusa, **Wilno** od Gedymina, **Poznań** i **Cieszyn** od Lecha, Czecha i Rusa.

Żadna z podobnych historycznych czy bajecznych postaci nie stała jednak u kolebki miasta **Bahia Blanca** i wogóle nie danem mu jest z chlubą wskazywać na swego Założyciela i pierwsze swoje początki. Owszem, powinnoby się raczej jednego i drugiego wstydzić, założycielami jego bowiem byli to pospolici zbrodniarze i przestępcy obojga płci, którzy wysłani tu na to pustkowie, pod dozorem kilkudziesięciu żołnierzy argentyńskich, sami starać się musieli o zbudowanie sobie mieszkań i utrzymanie życia.

W nowozałożonej osadzie zepsucie obyczajów doszło niebawem do najwyższego stopnia, nie mówiąc już nic o okrucieństwach, jakie się działy ze strony żołnierzy względem rozmaitych szczepów **Indyan**, na których od czasu do czasu urządzali sobie polowanie.

O tych jednakże i tym podobnych nowego kroju łowach na dzikich — ludzi, a nie zwierzęta, — będę miał sposobność potrącić w toku listu jeszcze razy kilka.

Położona w pobliżu 39go równoleżnika szerokości jeograficznej południowej nad oceanem atlantyckim **Bahia Blanca** (dosłownie: *zatoka biała*), otrzymała nazwę od zatoki morskiej, noszącej właśnie to miano, a od której jest odległą około 3 kilometry. Leży nad strumykiem, który w owej zatoce ma swoje ujście.

Do rzędu miast jest wyniesioną zaledwie r. 1893. Właściwą formę, czyli wygląd miasta, nadaje jej dość obszerny rynek, otoczony mniej więcej porządnymi budynkami; zato cała część środkowa zatrzymała jeszcze swą postać pierwotną, jaką jej nadali zasłani tamże złoczyńcy.

Kilka starych drzew, porozrzucanych tu i owdzie w zupełnym nieładzie, stanowi dziś jeszcze jedyną miasta ozdobę.

Reszta zabudowań **Bahii** ciągnie się również w bezładnej grupie wzdłuż płynącego strumyka.

Połączenie za pomocą kolei żelaznej ze stolicą rzeczypospolitej argentyńskiej, **Buenos Aires**, oraz niewielki port w zatoce, wpływają nadzwyczaj na rozwój handlu, który polega głównie na wywożeniu mięsa, skór, wełny, a także nieco zboża, sprowadzanego z pobliskich, dość gęsto rozrzuconych kolonii stepowych. Pomiędzy wszystkimi jednakże artykułami wywozu pierwszeństwo ma mięso. Tysiące bydła, spędzonego ze stepu, biją w pobliżu portu; mięso, ułożone w ogromnych stosach i dobrze zasolone, suszą przez kilkadziesiąt godzin na słońcu, poczem ładują je, należycie wysuszone i stwardniałe, na statki i wywożą, głównie do **Europy**.

Przed niezbyt wielu jeszcze laty okolica ta nad *zatoką białą* była siedzibą jednego z nielicznych już dzisiaj dzikich plemion tubylczych krajowców. Wyparci z nad brzegów **Atlantyku** przez napływającą w te strony ludność „cywilizowaną,“ przeważnie z europejskich złożoną wychodźców, musieli synowie stepu ustąpić; próbowali wprawdzie później po kilkakroć odzyskać przemocą utraconą posiadłość, napadając znienacka na mieszkańców szybko rozwijającej się osady i grabiąc ich dobytek, lecz zawsze byli z wielką swoją stratą odparci.

W jednej z ostatnich potyczek zupełną nawet ponieśli klęskę, straciwszy swego wodza i wielu znaczniejszych wojowników; pozostali przy życiu, widząc próżne swe usiłowania odzyskania napowrót utraconej na zawsze przewagi, zgodzili się z losem, poddali się rządowi argentyńskiemu i obecnie stanowią wcale pokaźną liczbę mieszkańców **Bahii**, przyswoiwszy sobie w krótkim czasie zewnętrzne formy życia „cywilizowanego“ *); dużo z nich dało się ochrzcić i staliby się niewątpliwie gorliwymi chrześcijanami, gdyby zły przykład, dawany im ustawicznie przez **Europejczyków**, którzy li tylko z imienia są chrześcijanami, a w rzeczy samej nie wiedzieć czy i jaką wyznają wiarę, gdyż pieniądz jest jedynym celem ich życia, nie niszczył w nich zarodków dobrych zasad, jakie misyonarzom udało się dotąd w ich sercach zaszczepić.

Pewna staruszka tego plemienia, mająca około 90 lat, żona ostatniego, poległego ich dowódcy, ani słuchać nie chce o przyjęciu chrztu św., pałając nieubłaganą nienawiścią do wszystkich bez wyjątku białych, których w swej nieświadomości uważa za przedstawicieli wiary chrześcijańskiej. Na widok tychże zapala się złością i powtarza: „*malos cristianos! matar todos, porque mataron mi marito!*“ (= źli chrześcijanie! wymordować ich wszystkich, ponieważ zabili mego męża!). Nieszczęśliwa, godna pożałowania istota!

Oprócz niej żyje tu w **Bahia Blanca** jeszcze kilkadziesiąt innych rodzin z niedobitków panującego dawniej w tej okolicy szczepu. Jest to żywioł bezpieczny lub niebezpieczny, stósownie do tego, pod jakimi pozostaje wpływami. Dają się łatwo naprowadzić na dobrą drogę, lecz również nie wiele potrzeba, by się dali użyć do najohydniejszych zbrodni. Część z nich (już na poły oswojonych) służy za pastuchów u bogatych właścicieli, którzy poskromiwszy wewnątrz kraju kilkanaście koczujących, indyjskich szczepów, nabyli od rządu argentyńskiego prawie za bezcen ogromne obszary, liczące nieraz kilkadziesiąt kwadratowych kilometrów. Na pół dzicy ci pasterze są właśnie owymi *gauchos* (= gauczos), o których w ostatnim moim liście już raz wspominałem, a którzy mi zapewne jeszcze nieraz nawiną się pod pióro.

U innych, jeszcze nieujarzmionych i dotąd na **Pampas** swobodnie bujających indyjskich plemion, **Europejczycy** są również w największej

---

*) Nie dziwcie się, że wyraz „*cywilizacya*,“ „*cywilizowany*“ i t. p. zaopatrzam w ironiczny cudzysłów. Trzeba przyjść tutaj i patrzeć na to, co ja nieledwie codziennie, w większej części wbrew własnej woli, i widzę i słyszę, ażeby nabrać pogardy do tych wyrazów, nie różniących się w niczem od „*kultury*,“ „*kulturträger*“ i t. p. osławionych słów, które się zapisały w żywej pamięci Polaków z zaboru pruskiego z czasów słynnego „*kulturkampfu*.“

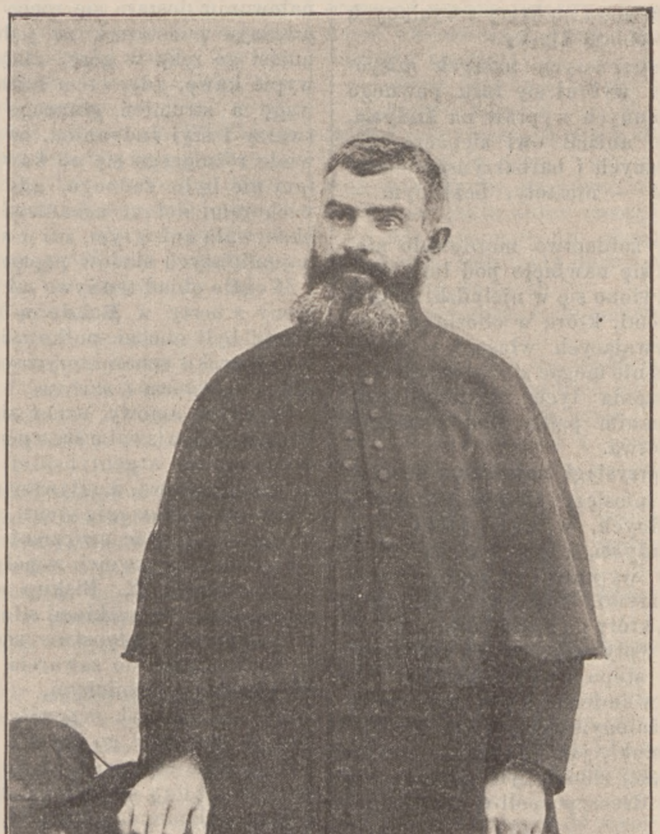
nienawiści, a to z powodu nadużyć, jakich sobie pozwalają fałszywi ci pionierzy postępu i cywilizacyi, co wszystko wielce utrudnia misyonarzom przystęp do opuszczonych, od wieków w pogaństwie żyjących biedaków.

Jedna z pomiędzy stu, a może nawet tysięcy, okrutnych sprawek, niech posłuży za przykład, by nabrać dokładnego pojęcia o sposobie „cywilizowania," jakie z dumą i przeświadczeniem o wysokiem swem posłannictwie uprawiają tutajsi **kulturträgerzy**.

Pewien majętny **Europejczyk** zakupił od rządu rzeczypospolitej argentyńskiej znaczne obszary, zamieszkane dotąd w pewnej części przez dzikie plemiona, a chcąc się pozbyć ze swego terytoryum tych biedaków, którzy czując się upośledzonymi i brutalną siłą wypieranymi ze stepów, które aż dotąd przywykli byli uważać za swą własność, być może, że niepokoiliby przez jakiś czas robotników, jakich tamże osadził celem uprawy ziemi i karczowania zarośli, — wziął się do tego w następujący sposób.

Wybrał się z licznem gronem sług, by urządzić na tych dzikich polowanie, lecz ponieważ z góry ukartowany plan nie bardzo wypadł pomyślnie, gdyż odgłosem strzałów, którymi kładzono trupem na ziemię pierwszych, jacy się nawinęli, dzikich, ostrzeżeni inni, uchodzili spiesznie, chroniąc się w miejsca bezpieczniejsze i zostawiając na łup najezdzców całą swoją chudobę i obozy, jakie zazwyczaj rozbijają w pobliżu miejscowości, gdzie bije jakie źródło, albo skąd wogóle łatwo do wody dostać się mogą.

Widząc ten niekoniecznie pomyślny wynik dotychczasowych łowów, wydał królik stepu swojej czeredzie rozkaz niestrzelania więcej do **Indyan** ani burzenia opuszczonych przez nich obozowisk. Nagła ta zmiana w postępowaniu, która pozbawiła samodzierzcę tak przyjemnej rozrywki, na której samo wspomnienie wzdryga się serce już nietylko chrześcijańskie, ale choćby same resztki uczuć ogólno-ludzkich odczuwające, zadziwiła w pierwszej chwili uczestników tych „cywilizowanych" łowów. Lecz — o zgrozo! — pod płaszczykiem pozornej litości ukrywał się daleko okrutniejszy pomysł, — pomysł iście szatański, gdyż tylko piekło i jego potępieńcy na coś podobnego zdobyćby się potrafili.



† **X. DOMINIK MILANESIO.**

Wydobyto zapasy trucizny, którą zabrano ze sobą, i zatruto wszystko: wodę, naczynia, pokarmy, które naumyślnie zostawiono, jak również resztki żywności, jakie znaleziono przy opuszczonych przez nieszczęśliwych **Indyan** ogniskach,—słowem wszystko, co się nadawało do wykonania piekielnego zamiaru. Tak uczyniono we wszystkich napotkanych obozowiskach.

Spełniwszy to ohydne dzieło, wrócił **kulturträger** wraz ze siepaczami do domu. Po upływie kilku dni wybrał się powtórnie w owe okolice, by się naocznie przekonać o skutkach niecnego postępku i — o litości! — znaleziono setki nieszczęśliwych **Indyan,** porozrzucanych tu i owdzie, bez znaku życia, z wyraźnymi śladami konwulsyjnego skonania.

Cel był więc osiągnięty, nie wiedzieć po raz który już „uświęcił" znowu środki; dzieło szatańskie było dokonane.

Oto macie jeden ze sposobów nowoczesnego cywilizowania, jakimi się bezkarnie posługują tutajsi **kulturträgerzy**.

O zaślepieni! pożałowania godni! Pragną dać innym cywilizacyę (czyli *uobyczajenie*), tej zaś oni sami nietylko że nie posiadają, ale najmniejszego nawet nie mają wyobrażenia, czem ona jest w rzeczywistości. W niczem, zgoła w niczem nie różnią się od barbarzyńców w rodzaju **Hunnów** lub **Awarów**, a może ich nawet przewyższają w krwiożerczości i wyrafinowanem okrucieństwie.

W ogólności śmiało można twierdzić, że w dziele pozyskania dzikich plemion dla cywilizacyi więcej dokaże jeden misyonarz swemi naukami, aniżeli całe oddziały żołnierzy przemocą. Rząd np. wysyła od czasu do czasu kilka oddziałów wojska, w różnych kierunkach naraz, w głąb stepu, celem zawojowania (czytaj: *wymordowania*) z góry upatrzonych przez siebie szczepów i pozyskania tym sposobem nowych obszarów. Niekiedy podobne wyprawy wypadają na korzyść rządu i osiągają pożądane rezultaty, nie rzadko wszakże **Indyanie**, rzuciwszy się zbiorową masą na który z wysłanych oddziałów, srogą mu zadają klęskę.

Jeden z najdoświadczeńszych naszych misyonarzy (X. Milanesio), wybrał się razu pewnego z jedną z takich wojennych wypraw na **Indyan**, w innych oczywiście, aniżeli owi siepacze, celach, — lecz jak bolesnych i barbarzyńskich scen musiał nieraz bywać — niestety, bezsilnym — świadkiem!

Na rozkaz dowódcy żołdactwo mordowało niemiłosiernie, co tylko się nawinęło pod lufy i bagnety; raz nawet pastwiono się w nieludzki sposób nad kobietami i dziećmi, które w obozie oczekiwały mężów, przebywających właśnie wówczas na łowach. Misyonarz, nie mogąc złemu zapobiedz, zabrał się do chrzczenia tych nieszczęśliwych i niewinnych istot, zanim padły pod strzałami rozbestwionego żołdactwa.

Otoż szczep ten poprzysiągł najezdcom zemstę.

Po upływie kilku miesięcy stanęło gotowych do boju kilka set silnych, w dość dobrą broń palną uzbrojonych **Indyan**, i byliby niezawodnie wycięli w pień słabą wyprawę rządową, gdyby nie nasz Biskup Cagliero, wikaryusz apostolski północnej **Patagonii**, który na prośbę rządu podjął się pośrednictwa i wpływem swoim ułagodził rozjątrzonych synów stepu, a szczególniej ich naczelnika, któremu w imieniu rządu (do czego przez tegoż był upoważnionym) przyobiecał rozmaite przywileje i podarunki, jak np. otrzymanie na własność pewnych części ziemi, byle tylko wraz ze swoimi poddał się Rzeczypospolitej i uznał jej zwierzchnictwo.

X. Biskup Cagliero, przebywając tutaj prawie od lat dwudziestu, znanym jest wszędzie i nawet u dzikich szczepów **Indyan** wielkiem się cieszy poważaniem; nie dziw zatem, że naczelnik (*cacique*) uległ wreszcie jego namowom i pod pewnymi warunkami uznał hegemonię Rzeczypospolitej argentyńskiej. Nawiasowo dodaję, iż X. Biskup, jakkolwiek prawie ciągle, razem ze swymi misyonarzami, przebiega stepy patagońskie, to jednakże właściwą swą i stałą siedzibę ma w **Viedma** (mieście, leżącem nad Atlantykiem o kilka dni podróży na południe od **Bahia Blanca**); do tej miejscowości więc zaprosił owego *kacyka* na układy.

Ostatni przybył z całym przepychem, na jaki stać było dzikiego królika stepu, w towarzystwie kilku znaczniejszych wojowników swego szczepu, przy której to sposobności, otrzymawszy należyte pouczenie w wierze i obyczajach katolickich, pozwolił się wraz z towarzyszami ochrzcić.

Różne przygody, zaszłe podczas jego pobytu w mieszkaniu X. Biskupa, mimowolnie rozśmieszały tych, którzy po raz pierwszy mieli sposobność zetknięcia się z dzikimi synami stepu. Pominąwszy inne, wspomnę następującą.

Spożywszy skromny obiad (oczywiście w najdziwaczniejszy i wysoce prostaczy sposób ze strony przybyszów), podano na zakończenie kawę. Nasi goście widocznie po raz pierwszy mieli do czynienia z przedmiotami, jak: filiżanka, podstawek i t. p. Ponieważ na podstawek naczelnika przy nalewaniu dostało się nieco kawy, zatem tenże, uważając podstawek za jedną całość z filiżanką, uniósł go ręką w górę, chcąc najprzód z niego wypić kawę, gdy wtem filiżanka straciła równowagę a strumień gorącego płynu polał się po twarzy i szyi Indyanina, co prawda, kolorem niewiele różniącego się od kawy. Nieszczęścia przytem nie było żadnego, gdyż gruba i stepowemi wichurami dobrze zahartowana skóra *kacyka*, nie okazywała ani w tym, ani w następujących dniach, najmniejszych śladów poparzenia.

Wogóle obiad ten żywo mi przypomniał niektóre sceny z uczty u **Bohdana Chmielnickiego**, na której byli obecni pułkownicy kozaccy, tak po mistrzowsku scharakteryzowani przez **Sienkiewicza** w „*Ogniem i mieczem.*“

W myśl umowy uznał się dowódca indyjski, wraz z całym swoim szczepem, jako poddany Rzeczypospolitej argentyńskiej. Rząd jednakże nie dotrzymał słowa, a odjąwszy niezadługo Indyanom możność do stawiania oporu, ani słuchać nie chciał o umowie, grożąc uwięzieniem kacyka, gdyby się ważył zachęcać swoich współplemieńców do podjęcia ruchawki. X. Biskup stara się wprawdzie teraz jeszcze wszystkiemi siłami u rządu, by kacyk w zamian za ustępstwo został wynagrodzonym w myśl ugody, do zawarcia której był formalnie od rządu upoważnionym, — czy mu się to jednak uda? . . . . Kacyk oczywiście jest mniemania, że Biskup umyślnie go zwiódł. Koniec końcem musiał usunąć się razem ze swym szczepem z miejscowości, którą aż do niedawna uważał za swoją i swego plemienia własność.

Jak już wyżej wspomniałem, naczelnik ten został ochrzczonym i pozwolił również, by który z misyonarzy naszych przybył do jego obozu celem ochrzczenia jego współplemieńców. Upoważnionym do tego został jeden z najstarszych i najdoświadczeńszych misyonarzy, X. Milanesio, który obok dokładnej znajomości zwyczajów różnych plemion, włada nadto kilkoma tychże narzeczami. Ponieważ zaś szczep **Tehuelches** zmuszonym był posunąć się dalej w głąb **Pampas**, przeto nasz misyonarz miał przed sobą podróż około 300 **leguas** [1]), a to dosłownie w pośród *dzikich pól*, pozbawionych wszelkich środków do życia. By Wam dać jakie takie pojęcie o sposobie tutajszego podróżowania, wystarczy przedstawić w lekkim zarysie rozległą płaszczyznę **Pampas**.

Podróżny przebiega całe przestrzenie, nie napotykając ani lasu, ani drzew, ani nawet krzaczka

[1]) **legua** = 5 kilometrów.

Podczas letnich upałów (w **grudniu i styczniu**) trawa, bujnie wyrosła, staje się tak twardą w suchym swym stanie, że kłuje i kaleczy, słowem niesłychanie dokucza koniowi, temu nieocenionemu towarzyszowi każdego tutajszego misyonarza, oddającemu tu na **Pampas** podróżnemu takie same usługi i będącemu takim samym „*okrętem pustyni*," jak wielbłąd na **Saharze**. Nierzadko napotyka się szerokie żyły piasku, ciągnące się po stepie nieraz kilkadziesiąt kilometsów; piasek ten jest tak sypkim i lekkim, że wiatr, dający się często we znaki w tutajszych stronach, z największą łatwością unosi go w górę, przenosząc całe warstwy z jednego miejsca na drugie. Krocząc po nim, noga zapada jak w śniegu. Gdyby nie te piaskowe morza („*dziadowskiem morzem*" zowią w **Prusach Zachodnich** i północnem **Wielkiem Księstwie Poznańskiem** podobną żyłę piaskową), przedsiębiorcy angielscy byliby niezawodnie dawno już tutaj zaprowadzili komunikacyę kolejową, co bez wątpienia znakomicie by się przyczyniło do prędkiego zaludnienia tego pustkowia i należytego wyzyskania miejscowości, nadających się tak ze wszech miar do uprawy.

Z braku więc odpowiedniej komunikacyi wielkie, a raczej, niezmierzone te obszary, smutny przedstawiają obraz. Nie rzadko zaledwie po kilku dniach uda się misyonarzowi napotkać jakiego człowieka albo rodzinę, bądź europejską, bądź indyjską, nieco już oswojoną.

Niektórym miejscowościom nadano przydomek, zgodny z odznaczającym je zewnętrznym wyglądem, i tak np.: ziemia *nędzy*, ziemia *spustoszenia*, ziemia *śmierci* (tutaj bowiem i ptaka się nie napotka), ziemia *pragnienia* (ta miejscowość zdaje się być jakby przeklętą i pozbawioną wszelkich darów przyrody, umożliwiających byt żywej istocie).

Otóż nasz misyonarz w podróży do wyżej wspomnianego szczepu **Tehuelches** wszystkie te i tym podobne miejscowości był zmuszony przebywać. W towarzystwie jednego braciszka-katechisty puścił się konno w podróż, zabrawszy ze sobą nieco przyborów, niezbędnych w podobnych wyprawach, jako to: mały namiot, kilka skór i kołder na nocleg, ołtarzyk przenośny do odprawiania Mszy św., kilka buteleczek z winem, nieco krzyżyków, medalików, obrazków i t. p. Te ostatnie drobnostki są niezbędne dla wyprawiającego się na **Pampas** do koczujących plemion indyjskich misyonarza [1]).

W pierwszych dniach podróż szła jako tako, gdyż tu i owdzie można było napotkać jaką rodzinę już oswojoną, czasami nawet aż „katolicką" (to znaczy: *już ochrzczoną*), lecz czy praktykującą przykazania i obowiązki przyjętej religii? Odpowiedź na to dość trudna, a raczej łatwa, gdyż kościoła po większej części nigdy nie widzieli, a księdza tylko wtenczas, kiedy Opatrzność Boska którego z nich w te strony skierowała.

Czwartego dnia swej podróży napotkał nasz misyonarz w zupełnem stojący odosobnieniu namiot jakiś, a w nim rodzinę ze szczepu **Ondas**. Wstąpiwszy do wnętrza, zastał tam niewiastę, otoczoną drobną dziatwą. Ta za wejściem misyonarza zmięszała się nieco, lecz po chwili jakby namysłu zapytała:

—„*Traes licor?*" (= masz wódkę?)

—„Nie," odrzekł X. Milanesio, „gdyż wódka jest rzeczą złą i szkodliwą."

—„O tem ja wiem," odpowiedziała, „jednakoż, gdy wypiję jej nieco, rozwesela mnie. Masz może inne jakie dobre rzeczy?"

—„Nie, nie mam nic, ale zato mogę ochrzcić twe dzieci, żeby były dobre za życia, a po śmierci dostały się do nieba."

—„Ja nie chcę, żeby umarły," zawołała z oburzeniem.

—„Nie obawiaj się, owszem chrzest zapewni im życie, gdyż oddali od nich *gualicho* (= dyabła), który, jak wiesz, jest złym."

Ponieważ niewiasta z pewną obawą i niedowierzaniem spoglądała na misyonarza, rzekł jej tenże:

—„Słuchaj. Wielu z twego plemienia **Ondas** pozwoliło się ochrzcić i żaden nie umarł."

—„Lecz ty," zawołała, „nie jesteś z mego plemienia. Ty jesteś **Argentyńczykiem** i chcesz mi szkodzić."

—„Mylisz się, nie jestem nim. Poznać to możesz nawet z mego ubrania."

Niewiasta, zmierzywszy misyonarza od stóp do głów i przekonawszy się, że ci, co krzywdę jej plemieniu wyrządzili (miała na myśli żołnierzy), daleko odmienniej byli ubrani, po długim namyśle rzekła:

—„Dobrze. Odpędź od mych dzieci *gualicho*, ale strzeż się oszukać mnie."

X. Milanesio z całym zapałem zabrał się do wytłomaczenia biedactwu temu najgłówniejszych artykułów wiary św. i ochrzciwszy je, zawiesił każdemu na szyję krzyżyk z upomnieniem, niezgubienia i noszenia go zawsze przy sobie, a to oprócz innych powodów także dlatego, aby, jeżeli tędy przechodzić będzie inny jaki misyonarz, miał dowód, iż otrzymali już chrzest św.

W myśl danego im polecenia, nowochrzeńcy ci z największą troskliwością obchodzą się ze święconymi przedmiotami, a objawy żywej wiary, jakie nieraz okazują, przyciskając do piersi i całując ofiarowane im święcone pamiątki, nie rzadko poruszają do głębi samego nawet misyonarza, który łzami radości zrasza ogorzałą od żaru słonecznego i suchego, pustynnego wiatru, twarz, a z piersi rwią mu się westchnienia dziękczynne ku Najwyższemu, iż mu pozwolił stać się narzędziem do pozyskania nowych dusz dla chwały

---

[1]) Niestety, sprowadzać je musimy z **Europy**, co połączone jest z niemałym kosztem, a tu cały nasz dochód stanowi li tylko wspaniałomyślność serc, pragnących chwały Bożej i zbawienia dusz.

Co się mnie osobiście tyczy, dawno już wyczerpałem zapas, przywieziony z **Europy**, a moi malcy nieustannie nalegają o zawieszenie im na szyi *una medallita*. Ach, jakby się tu przydały i ileby dobrego przyniosły obrazki święte i medaliki, które się u nas nieraz tak mało ceni i które się walają bez użytku i w wielkiem nieuszanowaniu po kątach!

niebieskiej. O, ileż to łask zlewa Wszechmogący Bóg na wszystkich tych, którzy bądź to jakim datkiem pieniężnym, bądź innymi środkami wspierają misye i przyczyniają się do wydobywania z głębi duszy nowochrzconych, szczerych i gorących aktów wiary, nadziei i miłości, jakie się wznoszą ustawicznie przed Jego tron z tych serc czystych, obmytych w zbawiennych zdrojach Chrztu świętego!

Ruszywszy stąd w dalszą podróż wespół z katechistą, znalazł się X. M i l a n e s i o wkrótce na niezmierzonych obszarach piaszczystych; gorąco dokuczało im niemiłosiernie, a pragnienie wzmagało się z każdą przebytą **legua**. Napróżno przez cały dzień szukali wokół na pół błędnym wzrokiem jakiegoś źródła; nigdzie nie dostrzegli ni trawy ni krzaczka, słowem niczego, coby ich na ślad jakiejś wody naprowadziło.

Pierwszą noc przespali pod namiotem, który wieźli ze sobą, robiąc sobie różne nadzieje na jutro, ale i następny dzień nie był lepszym od poprzedzającego: nie napotkali nigdzie ani kropli wody, a na domiar złego, cztery konie stepowe, które mieli ze sobą, lubo tyle wytrwałe i do wszelkich niewygód przywykłe, nie miały się czem, już nietylko napoić, ale i posilić.

Stroskani i w niepewności, jak długo im jeszcze przyjdzie błąkać się po pustyni, gdy noc zapadła, spędzili ją na gorącej modlitwie, a jakkolwiek mocno już osłabli na siłach, to jednakże duch, wzmocniony modlitwą, dodał im odwagi i nadziei. Lecz i trzeciego dnia napróżno zbaczali to w tę, to w ową stronę, szukając wody, już nietylko dla ugaszenia pragnienia, lecz również, by w dniu tym módz, przed rozpoczęciem dalszej podróży (jak zwykle dotąd), odprawić Mszą św. Daremne wszakże były wszelkie ich usiłowania: nawet kilka kropel wody, niezbędnych do odprawienia św. Ofiary nie udało im się nigdzie znaleźć. Już i tak krytyczne ich położenie stało się niebawem prawie bez wyjścia, gdy ku wieczorowi dwa juczne konie padły zemdlone i więcej nie powstały.

Tymczasem noc zapadła. Nasi biedacy na klęczkach błagali **Najśw. Maryą Pannę Wspomożycielkę** o ratunek, by tak samo, jak za życia Swego ziemskiego przedstawiła była w **Kanie** galilejskiej potrzebę biesiadników Swemu Boskiemu Synowi, mówiąc: „*wina nie mają*,“ przedłożyła Mu również dzisiaj, że misyonarze *wody nie mają*, aby w dzień następny, Jej czci poświęcony, (była to bowiem sobota), mogli odprawić przynajmniej Mszą św.

Pomodliwszy się gorąco, układli się do snu. Wtem — o radości! — o północy zbudził ich szmer kropel deszczowych, spadających na namiot. Przekonali się — nie wiedzieć już po raz który, — że Najświętsza **Wspomożycielka Wiernych** nigdy nie opuszcza takich, co się do Niej z całą ufnością uciekają. Uradowani, postanowili czem prędzej skorzystać z łaski niebieskiej; w tym celu, co tylko posiadali w tłomokach podróżnych a czemu mogli nadać formę nieco wklęsłą, podstawili pod okap namiotu, żeby zgromadzić nieco wody; dzięki tym zabiegom zebrali niezadługo tyle wody, że starczyło nietylko do ugaszenia pragnienia ich obojga, lecz także do napojenia dwóch pozostałych koni.

Któż tu nie uzna skutku modlitwy, działania Opatrzności Boskiej i Opieki **Najświętszej Wspomożycielki?**

Pokrzepieni na siłach, ku południowi tegoż dnia puścili się w dalszą drogę i, zanim noc zapadła, znaleźli się już w bezpieczniejszem miejscu, a posuwając się tak z dnia na dzień, zagłębiając się coraz więcej w step, po półtora miesiącu długiej, uciążliwej podróży stanęli wreszcie u celu. Pod koniec podróży, jakby w nagrodę ich wytrwałości, dał im Pan Bóg sposobność wykładania głównych zasad Wiary św. i obyczajów przeszło tysiącu dzikim, z których 200 przeszło przyjęło Chrzest św.

W ciągu tej długiej podróży miał X. M i l a n e s i o sposobność poznać różne plemiona, których zwyczaje, ogółem wziąwszy, nie wiele różniły się pomiędzy sobą.

W ogólności prowadzą życie tułacze; są niechlujni do najwyższego stopnia, a to co ich najwięcej odznacza, jest nieprzezwyciężone lenistwo. Mężczyzni utrzymują rodzinę z polowania.

Handlarze, po większej części **Europejczycy**, w zamian za skóry, strusie pióra i t. d., dostarczają tym nomadom rozmaitych wiktuałów, trunków, broni i innych rzeczy, za które naturalnie dobrze każą sobie zapłacić. Ze wszystkich jednakże artykułów handlu i zamiany, to co najwięcej tutaj na **Pampas** wypełnia kieszenie niesumiennych kupców, jest dostarczanie **Indyanom** upajających trunków, w zamian za które duszęby oddali. Nie rzadko się wszakże zdarza, że kara Boska spotyka handlarzy na miejscu i że w pośród rozpusty i pijatyki marną giną śmiercią, zadaną im przez rozpojonych **Indyan**, łakomiących się na przywiezione przez nich likwory.

Plemiona indyjskie, nieujarzmione jeszcze od rządu argentyńskiego, podlegają we wszystkiem swemu naczelnikowi, tak w sprawach zarządu, jak i obrządków religijnych (jeżeli tego wyrazu użyć można); plemiona zaś, które się już poddały prawom Rzeczypospolitej, jakkolwiek starają się do tychże (oczywiście po swojemu) zastósować, nieprzestają jednakowoż ulegać swemu naczelnikowi, którego nazywają *g a u h u e n* i tylko na jego rozkaz mogą zmienić obozowisko.

Co się tyczy ich **religii**, to utrzymują istnienie dwóch duchów: dobrego i złego. Pierwszego wzywają w jakiejkolwiek potrzebie, drugiemu przypisują każdy niepomyślny wypadek, nawet śmierć. O nieśmiertelności duszy, nagrodzie i karze wiecznej, wnioskują w sposób bardzo niepewny.

X. S. Cynalewski.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.